Cena 8 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 8 grudnia 1946 r. | Nr 48 (76)

Bartłomiej Bigorajski

Czy kryzys Uniwersytetów Ludowych w Polsce?

(Artykuł dyskusyjny)

TRZY ASPEKTY SPRAWY

Zagadnienie uniwersytetów ludowych w dobie obecnej rozpatruje się w potrójnym polu widzenia:

a) duńskim — t. zw. grundtvigiańskim,
b) polskim — t. zw. solarzowskim,
c) praktycznym —

i w zależności od tego, kto patrzy przez ten trójkąt: entuzjaści czy krytycy u. l. w Polsce (St. Ignar określiłby: zwolennicy indywidualnej demokracji, czy państwowej).

Entuzjasta w tego rodzaju pryzmacie patrzy tak, że widzi malowane koło barw. Zbytnie przybliżenie soczewki do oka powoduje łzawienie wzruszenia (Janowi Wiktorowi w Gackiej Górze pianie „jurnego koguta" wydawało się inaksze).

Krytyk zapytuje: po co uniwersytety ludowe? Ależ to anachronizm!

W rzeczywistości współczesnej, tj. w okresie upowszechnienia u. l. w Polsce, nie osiągnięto właściwego obiektywnego spojrzenia na sprawę u. l.

Sprawa ta jest jeszcze sprawą indywidualizmu Grundtviga czy Solarza, sprawą „samą w sobie", tak jak przed wojną, kiedy działał jeden „przykładowy" u. l. w Gaci i siedemnaście innych, miernie naśladujących wzory duńskie.

Dzisiaj działa około 40 placówek, zwanych u. l., 70 jest w przygotowaniu — a powinno być conajmniej trzysta, jeżeli pragniemy zrealizować postulaty wychowania i oświaty mas ludowych (ściślej: wychowania i oświaty dorosłych) wychodząc z założenia, że im bardziej świadomy obywatel, tym lepiej spełnia swoje obowiązki i zadania nakładane na niego przez państwo i społeczeństwo.

Rozwój ilościowy u. l. w Polsce nie wpłynął zupełnie na rozwój programu i metod.

U. l. w Polsce powojennej znalazły się w sytuacji niezwykle trudnej. Tego rodzaju sytuacja wywołała głęboki niepokój i troskę o ich przyszłość nie tylko w głównym zarządzie T. U. L. (jeżeli chodzi o kierunek dalszego rozwoju u. l.), ale i wśród demokratycznych działaczy, oświatowców i pedagogów.

Prowadzona w prasie dyskusja w ubiegłych miesiącach wykazała wiele sprzeczności i niedorzeczności w sprawie aktualnego zagadnienia tworzących się u. l., ich bytu lub niebytu.

Wybitny znawca u. l. grundtvigowskich, Hollman w pracy pt. „Uniwersytet ludowy a podstawy demokracji" wydanej w Polsce 1924, stwierdził:

„ale bo też i historia w swym powolnie postępującym rozwoju nie trafiła jeszcze na epokę, nadającą się do wypróbowania idei Grundtviga w całej doniosłości".

Nikt nie zaprzeczy, że historia w latach powojennych u nas jakby się zatrzymała. W Europie i w ZSRR dokonały się ogromne zmiany ustrojowe, społeczne i gospodarcze, w duchu dążeń i celów, dla których realizacji sto lat temu powstał pierwszy uniwersytet Grundtviga. Uniwersytety duńskie wraz z ogólnym nurtem postępowych myśli i pracy gospodarczej potrzebowały sto lat, aby urzeczywistnić dobrobyt i szczęście małej Danii.

Kryzys, który przeżywają nasze u. l. dzisiaj, nie leży w założeniach i formach tych placówek, ale dotyczy celów, programów i metod pedagogicznych. Zamiast kowali jutra, których wychowywały u. l. przed rokiem 39, należy wychowywać *artystów* szarego codziennego dnia.

Rola u. l. zmieniła się o tyle w porównaniu do okresu ich historycznej roli w Danii, że o ile Grundtvig poprzez u. l. budził naród ze „śpiączki", to w dzisiejszej Polsce zaistniała konieczność zbudzenia ze „śpiączki" uniwersytetów ludowych, nie dopuszczenia do ich izolacji od życia współczesnego.

Historia stworzyła najodpowiedniejszą epokę powszechnego zastosowania tych niezwykłych placówek we współczesnym życiu ustrojowym, społecznym i gospodarczym.

Zanim przystąpię do omówienia nowoczesnych podstaw ideowych, programowych i metod pracy u. l., pragnę uwypuklić istotne przyczyny kryzysu, w jakim znalazły się u. l. dziś — które nie pozwalają im kroczyć naprzód, a ciągną wstecz.

PRZYCZYNY KRYZYSU

1. Brak obiektywnego patrzenia na sprawę u. l.
2. Przestarzałość wzorów duńskich i solarzowskich, i wynikające stąd niebezpieczeństwo dalszego naśladownictwa.
   a) zasad indywidualnej demokracji,
   b) idealizmu,
   c) metody historycznej.
3. Niewypracowanie metod wychowania gospodarczo - społecznego.
4. Duch opozycyjności w u. l.
5. Brak twórców w budowaniu współczesnych podstaw, programowych.

BRAK OBIEKTYWIZMU

Wiadomo, iż „szkoły życia" — jak najczęściej określa się u. l. — trudno wtłoczyć w tabele statystyczne i poddać kryteriom naukowych interpretacji w dobie ubóstwa naukowej organizacji pracy przed wojną i do tego w okresie, kiedy ruch ludowy „przebijał mur izolujący chłopa od państwa" (Ignar).

Maciejówka, buty z cholewami, kożuch i widły były koniecznymi akcesoriami kruszenia tego muru a nie pióro i myśl badawcza. Dlatego praktycy u. l., kierownicy i nauczyciele, przerastający, jak n. p. Solarz, teoretyków i ideologów u. l. o całe niebo, nie zebrali bogatego materiału prób i doświadczeń. Ustrój polityczny do września 1939 r. był ustrojem jak najmniej sprzyjającym pracy i rozwojowi u. l. Nieliczna grupa ludzi związana była z ruchem u. l. Nie mamy danych biograficznych, monograficznych. Nie zebrano dorobku pracy, działalności u. l.

Słuszne jest twierdzenie, że powstała pewna izolacja placówek, regionalizm, kapliczkowość wobec patronów i „świętych" chłopskich, hamująca wyjście u. l. na szerszą płaszczyznę działań, przemian i procesów twórczych.

U. l. w Gaci stawiany za wzór działał i wiązał się z życiem środowiska wiejskiego kilkudziesięciu wsi okolicznych pow. rzeszowskiego, przeworskiego, łańcuckiego. „Sprawy gospodarcze i polityczne okolicy skupiły się w rękach Solarza i uniwersytetu jak promienie w soczewce" (St. Ignar, „Młoda Myśl Ludowa", sierpień 1946).

Uniwersytet gacki spełniał w Małopolsce rolę soczewki skupiającej regionalnych działaczy.

Ocena sytuacji u. l. poprzez pryzmat Gaci, Głuchowa, Szyc itp. w braku prac badawczo - opisowych prowadzi dzisiaj na manowce w szukaniu dróg wyjścia z kryzysu i zastoju, w jakim znalazły się współczesne u. l.

STARE WZORY

Gacka Górka to wzór naśladownictwa u. l. typu grundtvigowskiego. Sam Solarz często podkreślał ekskluzywność Gaci w odniesieniu do innych u. l. — w zakresie doskonałego naśladowania tychże wzorów. Oto jego słowa: „Nazwa „uniwersytet ludowy" stała się u nas w ostatnich czasach bardzo popularna, upowszechniła się zbytnio jako tytuł niższego rodzaju i wartości kursów. Widać dzieje się to z jednej strony pod wpływem wieści o znaczeniu uniwersytetów grundtvigowskich w Danii a nawet już w Polsce, a z drugiej strony działa pociągający tytuł tak, jak różne

Staisław Piętak

Powrót wnuczka*)

Stałem przy wierzbie, lecz i ona przez powietrze
popłynęła. W wodzie o złotym dnie rząd kwiatów
rósł w księżycu białym, liliowiał w wilgnym wietrze.
Noc... — Dokąd prowadzisz mnie, do jakiego z światów?

Cienie śmieją się na ulicach, w blask klękają.
Ścieżka różowa tam biegnie tak smukła, czysta,
że chaty, drzewa, kościół schodzą do ruczaju,
a pod niebem dzieje się rzecz nieoczywista.

To westchnął ktoś. Kogut niesie linię w dzióbie
i nad wioską czarną idzie po srebrnej linie.
Ach, moje serce oddane jest strasznej próbie.
Babciu — i ty odpływasz w niebo, cień twój ginie.

Uwierzyłem, że ciało me to szum, że wystarczy
uczynić krok w przestrzeni, a powietrze mnie przyjmie.
Wszedłem na wierzbę i skoczyłem. Twój płacz starczy
koił mój ból. Myślałem przejęty: — że dziwnie!...

Dziewczyna

Nie kłamałem, że jaskółki
przygnały mnie w rzeczne pustkowie.
– Ach, to pan z partyzanckiej spółki
chyba? — śmiałaś się i po głowie
twojej pełzły chmur błyskawice.
Urzekły cię me tajemnice.

Naprzekór burzy, z twarzą w gromie –
nie patrząc, że Niemcy strzelali
jeszcze — padłem i w wód ogromie
szedłem, goniąc błysk, kij ze stali.
Z tęczą-ś w blask mię obejmowała.
dlatego zbladłaś nagle cała.

Szliśmy drożyną potem długo
i ja cieszyłem się, żeś ładna.
Kłamałem, że mieszkam nad strugą.
Wieś pawiem w polu rosła parna...
Lecz w oczach drżały smutne cisze
twoich. Mówiłaś — niech pan napisze...

Nie przyszedłem więcej i nie wiem
nawet jak twe imię. Czekała
w zdziwieniu, rozpaczy i gniewie
twarz twoja, rączka listki rwała
w trwodze. Ptaszek z złamaną nóżką
płakał — powlekłaś się za dróżką.

Tych słów nie przeczytasz, bo może
niepiśmienna jesteś i pojąć
ich nie zdołasz. To ja się trwożę
teraz i myśl ratuję twoją
mową. Gdy smutek ciało dręczy
w blask wiodę cię w złotej obręczy.

*) W ostatnich dniach ukazał się nakładem Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Literatów Polskich tom poezji Stanisława Piętaka pt. „Dom rodzinny". Tom zawiera nowe wiersze liryczne oraz wybór poezji z lat 1932 — 1944.

„akademie, uroczystości, konferencje". Jest więc moda na uniwersytety wiejskie. Uniwersytet wiejski jeżeli nie jest grundtvigowskim to nie jest uniwersytetem wiejskim. Tak mówią Duńczycy. Pożądany byłby u nas w tej sprawie ład".

Jeżeli dzisiaj rozważni wielbiciele twierdzą, że „Solarz, gdyby żył i prowadził uniwersytet, zmieniłby gruntownie formy pracy i wypełniłby je nową treścią, mam podstawę tak sądzić (Ignar) jeżeli zestawię działalność Solarza w Szycach i Gaci, gdy przebiegnę myślą jego twórczą pracę od r. 1929 — 1939 a inni fanatyczni mówcy krzyczą: „Nie wolno nikomu naśladować Solarza" — „jeżeli się nie potrafi pracować tak jak Solarz nie należy upowszechniać u. l." — to ja — nie będąc prorokiem ani gadułą przyłączam się do tej drugiej grupy wielbicieli i stwierdzam — nie należy i nie wolno naśladować Solarza, a tym bardziej wzorów duńskich w pracy u. l. na tle dzisiejszych przemian.

Zbijam błędne twierdzenie, że głębokie przyczyny kryzysu u. l. w obecnej sytuacji nie leżą w zakresie naśladownictwa form, które są niezastąpione, ale w potrzebie gruntownej zmiany celów, treści i metod. Jeżeli chodzi o formy, to żaden zakład naukowy nie dawałby w krótkim, trzy — czteromiesięcznym czasie, tak wielkich i zasadniczych przeobrażeń w umysłach i w duszach uczestników kursów u. l.

Uniwersytet duński „wyłonił się z demokratycznego ideału kulturalnego wielkiej narodowej indywidualności" (Hollman). Głównym celem u. l. w Danii było stworzenie „duchowych podstaw demokracji" w dobie prądów politycznych ideologii zachodnich Europy mających swe źródło w ideach rewolucji francuskiej.

Idee te podchwycone przez mieszczaństwo i klasy posiadające stworzyły podwaliny nowego rodzaju indywidualnej demokracji i liberalizmu gospodarczego. Nieograniczona wolność jednostki kosztem grupy społecznej wytwarzała nowe formy ucisku chłopów i robotników.

Działalność Grundtviga datuje się w czasie odrodzenia burżuazji mieszczańskiej i ziemiańskiej, w okresie wzrastania i rozwoju nowoczesnego kapitalizmu, jako nowego potężnego narzędzia klas posiadających w walce z ludem. Uniwersytety ludowe Grundtviga powstały jako główne i najważniejsze instrumenty tej walki. Celem tej walki było wprowadzenie mas ludowych do ogónonarodowego nurtu współczesnych przemian i zastosowania wobec reakcyjnej mniejszości w oparciu o zasady indywidualnej demokracji równych szans rozwojowych warstwy chłopskiej z innymi warstwami w stosunku do ich ilości.

Założenie i cele grundtvigowskich u. l. wyrosły w okresie przemian i ideałów rewolucji francuskiej, które Grundtvig zapłodnił pierwiastkiem ludowym jako jednym z centralnych punktów pracy oświatowej w u. l. — oraz narodowym w dobie rozrywania przez grupy reakcyjne wspólnot narodowych. Realizm i mistycyzm oraz potężna wiara w ożywiającą treść i wartość mas ludowych — w założeniach pedagogicznych i wychowawczych miały być podkładem w tworzeniu najwyższych ideałów kultury ludzkiej, których twórcą był człowiek, indywidualista, osobowość.

Nie program stanowił podstawy działania w uniwersytecie wiejskim przed wojną, ale człowiek, którego zadaniem było podnosić masy ludowe, ściślej masy chłopskie, „poprzez obcowanie z wielkimi duchami ludzkości, budowaniem poglądów zasadniczych na życie, zapalaniem w młodzieńczej duszy idei na całość człowieczego życia, budzeniem sił wewnętrznych do działania".

Jeśli dziś staje przed u. l. problem wychowania zdrowej i czynnej grupy społecznej, założenia ideowe i programowe u. l. duńskich stwarzają trudności nie do pokonania.

Kamień węgielny ideałów grundtvigowskich — to zagadnienie idealizmu, demokratycznego humanizmu, który najpełniejszy wyraz znalazł w niemieckim idealiźmie.

Wielkość Grundtviga uwydatnia się w tym, że doskonale przewidział, iż kapitalizm w końcowej fazie rozwoju zepchnie i zgniecie człowieka jako narzędzie w mechanizacji i biurokratyźmie życia. Dlatego sednem prac wychowawczo - kulturalnych w grundtvigowskim u. l. jest idealizm, duchowość i mistycyzm. Solarz w przedwojennej rzeczywistości rozbudował i rozszerzył idealizm do granic gandyzmu, przewyższając w tym Grundtviga.

Zagadnienie współczesnego humanitaryzmu, człowieczeństwa — jest zagadnieniem nie tylko programowym u. l. Jest sprawą ogólnonarodową. Nowoczesny racjonalny humanitaryzm i realizm życiowy w kulturze, pedagogice, w życiu społecznym i ogólnonarodowym jest sednem nowych treści i programów u. l. Rozwiązanie tego problemu — to gwarancja przyszłości nowej kultury narodowej.

Typy zakładów wychowawczo - oświatowych jak u. l. — są najbardziej predystynowane do wypracowania współczesnych podstaw racjonalnego humanitaryzmu i realizmu przez odpowiednie wiązanie realizmu chłopów i robotników z ich duchowymi wartościami.

„Tymczasem dzisiaj przyrodnicy, którzy doświadczają smutnych wyników swej wielkiej przewagi nad humanistami, zaczynają rozumieć, że jednostronny rozwój ludzkości prowadzi prostą drogą do zagłady. Sprawa szybkiego rozwoju nauk humanistycznych i ich zastosowania praktycznego w wychowaniu i polityce jest najważniejszą potrzebą ludzkości.

Grundtvig wyrastał nienawidząc wszystkiego, co reprezentowały klasy posiadające w ówczesnej Danii — a więc i szkolnictwa będącego w posiadaniu tych klas. Ówczesne szkoły i zakłady naukowe nazywał „czarnymi szkołami", „szkołami śmierci". Szkoły „oprócz matematyki, astronomii, fizyki praktycznej i spekulatywnej filozofii muszą jeszcze uczyć po łacinie Nowego Testamentu" (Hollman).

Wielu entuzjastów Grundtviga uważa, że równie ważne jest dla zasad u. l. to, iż „Grundtvig urodził się w malowniczej wsi duńskiej", jak i to, że „nie chodzi tu o wiedzę, pojmowanie życia jako zbiór wiadomości książkowych, cyfr, tytułów i teorii (Garczyński). Musimy również dobrze zdać sobie sprawę, że Grundtvig — pastor i moralista kształtował swój światopogląd w czasie, kiedy rozkopywano jaskinie, odgrzebywano szkielety, szczątki ludzi i zwierząt, dokonywano pierwszych pomiarów czaszek i hodowano w laboratoriach pszczoły i mrówki.

Zapewne, wiedzy w u. l. nie sposób nauczyć w ciągu pięciu miesięcy. Program jednak winien być opracowany w sposób jak najbardziej dostowany do realnych metod samokształcenia, aby absolwent — jeżeli nie pragnie uczyć się dalej a pracuje zawodowo — miał możność rozwijać swoje zainteresowania umysłowe.

(Dokończenie nastąpi).

Bartłomiej Bigorajski.

Andrzej Skupień Florek

BIAŁY DUNAJEC

jego początek, prawa i przywileje dlań królewskie — część I

Dzieje wsi Biały Dunajec zaczęły się od sześciu gazdów. Kiedy — w którym roku onych sześciu tam osiadło — nie jest wiadomem. Po raz pierwszy, jak notują kroniki, wspomina o nich i o wsi Biały Dunajec jako o osadzie, pierwsza lustracja Królewszczyzn w Polsce przeprowadzona w roku 1564, z uchwały sejmowej, gdy chodziło o uzyskanie środków, na utrzymanie stałego wojska „kwarcianego". Lustracja wymienia Biały Dunajec jako wieś nową, w której jest osiadłych dopiero sześciu kmieci.

Było to w czasach, kiedy rządy w Polsce sprawował król Zygmunt August, którego własnością jako „dobra Królewskie" było całe Podhale. Zaś dzierżawcą tych dóbr królewskich w Nowotarskim starostwie był starosta Prokop Pieniążek, a po nim jego syn Jan. Kolonizacja Podhala podówczas była jeszcze bardzo słaba, a roz winęli ją właśnie Pieniążkowie, Prokop i jego syn Jan, który po ojcu objął starostwo nowotarskie w dzierżawę. I kiedy obejmował owo starostwo, istniały jedynie osady: Nowy Targ, Szaflary, Woksmund, Długopole i Klikuszowa. Natomiast jak odchodzili, to zostawili 20 wiosek, przyczym osadzanie posuwało się z dołu ku Tatrom. Pierwsi owi kmiecie, a mieszkańcy Białego Dunajca przybyli tutaj z Szaflar przed 382 laty.

Jednym z pośród tych sześciu kmieci, który odegrał rolę osadziciela Białego Dunajca, był Jędrzej Pawlik.

On to, w 15-cie lat później po wspomnianej lustracji, bo w roku 1579 otrzymał od Jana Pieniążka, starosty nowotarskiego, przywilej lokacyjny (t. zn. prawo zakładania wsi). Dokument nadania przywileju jaki otrzymał Jędrzej Pawlik od starosty jest dosłownie treści następującej:

„1579, 23 lutego Nowy Targ.

In nomine Domini Amen.

Iż są zawdy rzeczy nie pewne, gdzieby pisma potrzebowały, aby pirwej pismem umocnione i też utwierdzone były. Przeto ja Jan Pieniążek z Krożlowej, dzierżawca dóbr nowotarskich i Szaflarskich, wszystkim wobec, komu tego na potym potrzeba wiedzieć, oznajmuję i do wiadomości przywodzę niniejszym moim listem, iż ja obaczając, skądby mogły więcej rozmnożone być dobra nowotarskie i szaflarskie ku pożytkowi i większemu rozmnożeniu tychże wyżej pomienionych dóbr, tedy za przyczyną wiele dobrych ludzi tak z miasta Nowego Targu, jako i ze wsi Szaflar którzy mi zalecili poddanego mego Jędrzeja Pawlikowego syna z Szaflar, prosząc za nim, abym mu dał wieś osadzać w lesie za Szaflary nad rzeką rzeczoną Białym Dunajcem na gruntach Szaflarskich, ja tedy, widząc prośbę ich słuszną, pozwoliłem mu tego, żeby wieś rzeczoną Biały Dunajec osadzał, któremu zaraz dałem wolność ku osadzaniu przerzeczonej wsi jako sołtysowi, któregom już za sołtysa tejże wsi, którą będzie osadzał rzeczony Biały Dunajec wziął i postanowił wiekuistych czasów z jego własnymi potomkami, dając mu do tego sołtystwa łan zupełny rolicj ku wyprawieniu sobie, młyn z jednym kołem mącznem, karczmę ku szynkowaniu piwa i też wolne łowienie ryb i zwierza ku temu nad rzeką Poroninem, góry wolne dla pasienia dobytku. Z którego sołtystwa tenże Jędrzej sołtys z swymi własnymi potomkami będzie powinien potomnych czasów mnie i namiestnikom moim każdy rok na wielkanoc po trzy czerwone złote dawać i od dobytku owiec dwudziestego barana tak, jak inni poddani oddają w państwie i dzierżawie nowotarskiej; które to sołtystwo tenże Jędrzej sołtys z swymi własnymi potomkami ze wszystkiemi przynależłościami, które będą należeć, także jako i insi sołtysi w tychże dobrach nowotarskich i szaflarskich podlegli według prawa magdeburskiego będzie trzymał dzierżawił y używał, zupełną mocą przedać, dać, darować zamienić i ku pożytkom swym obrócić, któreby rozumiał mieć sobie nalepsze z swymi własnymi potomki. swą własną dałem przyłożyć i ręką swą A dla lepszej wiary i pewności pieczęć własną podpisał. Dan i działo się we dworze nowotarskim w wigilię św. Macieja Apostoła roku Bożego tysiącznego pięćsetnego siedemdziesiątego dziewiątego.

Idem qui supra manu propria".

Dokument powyższy, który otrzymał od starosty Pieniążka Jędrzej Pawlik, jest pierwszym dokumentem w historii istnienia naszej wsi Biały Dunajec. Z chwilą otrzymania tego przywileju, który z upoważnienia króla wydał starosta, Jędrzej Pawklik stał się prawym założycielem Białego Dunajca, dużej już dzisiaj wsi. Jak wynika z treści przywileju, nasz założyciel wsi Pawlik wywodzi się z rodziny Pawlików, która jako rodzina polska osiedliła się przedtem w starszej osadzie Szaflary. Pawlikowie ci nie są z rodu sołtysiego. Byli to zwykli kmiecie, którzy jako energiczni mieszkańcy Podhala starali się uzyskać wybitniejsze stanowisko prawne i majątkowe, co przy ich własnej zasłużonej pracy udało im się osiągnąć, skoro jeden z nich, jak widzimy w tym wypadku, otrzymał przywilej sołtysa w lokowanej przez siebie wsi Biały Dunajec, z prawem dla swoich potomków „po wieczyste czasy". Tak, i odtąd rodzina Jędrzeja stała się rodziną sołtysią, zaś sam Jędrzej jako dożywotni sołtys, według magdeburskiego prawa prowadził dalsze osadzenie tejże wsi, sprawując zarazem zwierzchnictwo nad resztą osadników jako swoimi poddanymi spełniając zarząd wioską.

Do jego czynności jako sołtysa należało przy tym: 1) prawo sądzenia we wsi, 2) wybieranie czynszów i danin od poddanych dla pana, oraz obowiązek wypędzania poddanych swojej wioski na robociznę do dworu. Sam zaś, jako sołtys miał prawo i przywileje dla siebie, które mu przynosiły korzyści, następujące: 1) prawo używania całego „łanu" ziemi na „wieczystą własność" danego, o czym jest mowa w powyższym dokumencie lokacyjnym. — Jak duży obszar ziemi obejmował ten wymieniony „łan roli" sołtystwa, trudno dokładnie określić.

W każdym razie był on większy jak dzisiejsze „role", o czym przekonywuje nas dalszy dokument królewski króla Władysława IV, (o którym mowa będzie niżej). Między innymi jest tam takie zdanie: — „z jednego łanu i przelać je wraz ze wszystkiemi rolami" — to oznacza że „łan" to nie jedna rola. A Kazimierz Dobrowolski, który zajmował się wymiarami na Podhalu, pisze w pierwszej części „Włościańskie rozporządzenia" że „rola łanowa wynosiła od stukilkudziesięciu do dwieście morgów". Z tego możemy wnioskować, że sołectwo Pawlikowe liczyło sporo więcej niż 200 mórg ziemi.

Drugie uprawnienie, to prawo zbudowania sobie, na posiadanym sołectwie, młyna „z jednym kołem mącznem", z czego sołtys Pawlik miał dochód, gdyż włościanie korzystając z tego młyna dawali pewne opłaty albo pobierano z ich worków pewną ilość mąki. 3-cie to prawo założenia karczmy ku szynkowaniu piwa dla włościan swojej wioski. 4-te to prawo polowania na zwierza i łowienia ryb, 5-te to góry wolne dla wypasu bydła. 6-te prawo do otrzymania trzeciego grosza z kar i opłat sądowych oraz do szóstego grosza z czynszów, które płacili inni mieszkańcy dla dworu. 7-me to zwolnienie od wszelkiej robocizny. Poza tym sołtys miał prawo żądać od poddanych swej wioski robocizny, którą musieli wykonywać obowiązkowo dla sołtysa na jego gruntach po sześć dni do roku, ale za tę pracę sołtysi dawali wynagrodzenie. Czy nasz Pawlik jako sołtys korzystał z tego prawa — nie wiadomo, gdyż wzmianki o tym nie udało się dotąd znaleźć. Zaś za te przywileje miał sołtys wobec starosty obowiązek dawać co roku po 3 czerwone złote, a to za wypas bydła na halach oraz daninę baranią (od posiadanych „baranów" dawał dwunastego, co jest nawet zabezpieczone w nadanym sołtysowi przywileju lokacyjnym). Poza tym na sołtysie ciążył obowiązek t. zw. „podróży" t. zn. noszenia listów i jeżdżenia wozem raz do roku w sprawach starościńskich. Choć nie wszystkie uprawnienia i obowiązki są szczegółowo wymienione w przywileju lokacyjnym Pawlika, to jednak istniały, gdyż wynikały z samego prawa magdeburskiego, które obowiązywało sołtysa, jako warunek zabezpieczony w dokumencie przywileju lokacyjnego Białego Dunajca.

Niedługo jednak Pawlikowie jako rodzina sołtysia spełniała i ponosiła względem starosty wszystkie te powinności, bowiem Jędrzej Pawlik — sołtys, zostaje „wybrańcem", to znaczy, zostaje wybrany na żołnierza piechoty wybranieckiej. Był to raczej zaszczyt aniżeli obowiązek, bowiem takich wybrańców nowotarszczyzna miała tylko trzech. Wybraniectwo dawało wybranemu pewne nowe przywileje i uprawnienia zwalniające od pewnych dotychczasowych ciężarów.

Wybraniectwo to zawdzięczamy królowi Stefanowi Batoremu, który jak pisze Dr. Józef Rafacz „Dzieje i ustrój Podhala Nowotarskiego" — chcąc stworzyć własną polską piechotę w walkach, jakie prowadził z Moską, konstytucją z roku 1578 uchwaloną na sejmie, uzyskał prawo wybierania piechoty z dóbr królewskich i to tak ze wsi jak i z miasta. Zaś konstytucja z r. 1590 określiła ten obowiązek w ten sposób, że z 20 łanów w dobrach królewskich miano wysłać jednego wybrańca jako żołnierza piechotnego, który we własnym uzbrojeniu (z rusznicą, szablą i siekierą) i ubraniu miał uczestniczyć w wyprawach i ćwiczeniach prowadzonych przez wojewódzkich rotmistrzów. Chłop wybraniec, odbywający służbę wybraniecką, miał pełny łan roli wolny od posług i czynszów i innych powinności względem starosty. Ażeby zaś starosta nie poniósł z tego powodu umniejszenia swych dochodów, powinności te obciążające łan wybrańca, były rozdzielone między poddanych, którzy siedzieli na innych 19-tu łanach.

DO NASZYCH PRENUMERATORÓW

Administracja tyg. „Wieś" przypomina, że należność za prenumeratę pisma należy przesyłać nie na adres Administracji lub Redakcji, lecz przekazem pocztowym na konto:

PKO ŁÓDŹ VII — 1080

Czesław Schabowski

Ilustr. St. Cieloch

MITKA

MITKA ŚPI...

Jedna piąstka wetknięta między policzek a poduszkę, a druga — raz oparta na kołderce, a raz czyniąca w powietrzu takie ruchy, jakby chciała złowić coś z tych sennych skarbów, jakie zazwyczaj marzą się takiemu maleństwu. Nóżką uparcie kopie pościel, nie daje przykryć się, chociaż muchy tną niemiłosiernie; a czasem, przez ten błogi sen dziecięcy, mała śmieje się aż na głos; to wyciągnie ręce na całą długość, wzniesie je ponad głowę i oprze na poduszce, albo skopie kołdrę obiema nogami i zaświeci niewinną nagością dziecinnego ciałka, a za chwilę skręca się w kłębek i zmienia pozycję: głowa znajduje się tam, gdzie przed chwilą leżała pupka.

Jakżeż to niespełna trzyletnie dziecko budzić tak wcześnie, jakżeż ściągać ją z łóżka i wlec ze sobą na cały bauerski dzień pracy od świtu do zmroku?

Matka już dłuższą chwilę nie śpi; wpatruje się miłośnie w swe dziecko i przeraża się dniem, który zaciemnia swą ponurością całe piękno macierzyńskiej szczęśliwości; żal dławi, że takie maleństwo musi znosić tę samą katorgę, co i dorosły niewolnik: gnój nie gnój, chłód nie chłód, rosa nie rosa, upał nie upał, smród nie smród — wszędzie wraz z Martą — Mitka: stajnia, gdzie trzeba stale drżeć, aby dziecka nie stratowały konie lub świnie nie pogryzły, ogród, gdzie truchleje się ze strachu, żeby dziecko nie utopiło się w basenie lub nie polazło na okna inspektowe i nie poprzecinało sobie żył; kośba strach okropny, żeby dziecko pod kosę się nie dostało: młocka, żeby w tryby maszyny mała nie wetknęła wścibskich palców... A spocznij i zajmij się dzieckiem na chwilę, zaraz niemczysko wrzeszczy jak opętane, że się darmo chleb je i grozi, że po żandarmów pójdzie, bicie sprawi, na gestapo odda... Boże, Boże, kiedy się to skończy — wzdycha Marta — żeby chociaż Piotr nie zachorował tak nagle... — myśli o nieobecnym mężu — dwojgu rodzicom łatwiej dopatrzeć małą... i przy Piotrze czas szybciej leci, odwagi jest więcej, lżej się znosi tę katorgę... Boże, Boże, kiedy się to skończy? Od czwartej rano do jedenastej w noc, dzień w dzień haruje jak wół: ledwo wstaniesz, stajnia: gnój, ściółka, „futer", dojenie — ile tylko przy tym męki! Potem albo pielenie grządek, albo trzeba machać motyką cały dzień od wschodu do zachodu, aż grzbiet trzeszczy albo wstrętny „kunstdinga" — nawóz sztuczny, jakaś siarka czy inna cholera, rozsiewaj to po tych przeklętych morgach bauera; diabelstwo to wżera się w oczy chmurą pyłu nawet przy najspokojniejszej pogodzie, osiada we włosach i drażni niemiłosiernie, a jeszcze i Mitka polezie z nienacka i rękę zanurzy, złapie garść całą i miej w zadku ślepie, żeby nie nażarła się mała tej trucizny; albo, jeśli deszcz, zagoni niemczysko do wstrętnej, zatęchłej piwnicy i każe zgniłe ziemniaki wybierać i wynosić na gnój, i znów strapienie z dzieckiem, żeby nie grzebało się w tym świństwie... Boże, ile jeszcze tego! Kiedy się to skończy?

Refleksje te przerywa wściekłe ujadanie: — Mataa! Ergotinoamooolaufsteeen! Marta ubrała się pośpiesznie, zrezygnowała



dziś z budzenia Mitki i zabierania wraz z sobą i sama zeszła do stajni, gdzie bauer Kunze stuka jeszcze w powałę, nad którą znajduje się ich nędzny stryszek i ujada zawzięcie swoje „Mattaa! Ergootnoamollausteen!" — a ujadanie to jest tym wstrętniejsze, bo warczy pysk związany, jak pysk buldoga kością, nieodłączną fają. Ujrzawszy Martę, Kunze wyjmuje z pyska faję, wali nią wściekle o trzon wideł, którym dopiero co tak stukał w powałę stajni, wytrząsa popiół i mruczy:

— Najwyższy czas... to tak dalej nie idzie... jeżeli tak będziesz zasypiać, ja nie wytrzymam... cierpliwość ma swoje granice! Zobaczysz, że zaprowadzę cię na żandarmerię, a tam ci wlepią 25 na skórę, byś wiedziała raz na zawsze o której do krów wstawać!

Odkąd nie ma jej męża Piotra, który nagle na reumatyzm zachorował, tak, że do szpitala go odwieziono karetką, Kunze odgraża się często.

Dziwny to niemiec ten Kunze, Marta nie może wyjść z podziwu. Właściwie nie ma się czemu dziwić, bo oni wszyscy tacy: oto front od Lissy ledwo coś 80 kilometrów, już od kilkunastu dni nieprzerwane grzmoty artylerii radują serca robotników nadzieją rychłego końca, a oni tutaj jak 4 lata temu wstecz: butni, pyszałkowaci, groźni, za byle co biją i wieszają, jakby mieli jeszcze raz być pod Moskwą.

Marta rozumie znienawidzony, niemelodyjny, obcy wiecznie polskiemu uchu język niemiecki i wszystko co obiecuje Kunze — skrupulatnie notuje w pamięci. A mówią wokół przecież, że jeden moment — a bolszewicy mogą front przerwać i przedostać sę tutaj w kilku godzinach.



Marta po prostu przestała w to wierzyć. Dzień w dzień, noc w noc, dochodzą odległe, głuche grzmoty gdzieś od Goerlitz, co dzień przysłuchuje się tym grzmotom z drżeniem serca, a te, miast zbliżać się, od paru dni jakby się oddalały. Oczywiście, że Kunze ze zjadliwym uśmieszkiem nie omieszkał powiadomić robotników, że polskie dywizje prące na Drezno tak dostały, że do powtórnego ataku nie będą zdolne nigdy, że Niemcy w ogóle niedaleko stąd rozbili bolszewików i odpędzają ich nawet od Berlina, że już do Warszawy z powrotem dochodzą, słowem, jak za dawnych lat: „Sieg gehoert uns".

Zwycięstwa te Marta też zna; Piotr o wszystkim, co się dzieje na świecie, wie od Czechów, bo ci słuchają i londyńskiego i moskiewskiego radia.

Marta już nauczyła się cierpliwości i nie wszczynałaby kłótni, ale te pogróżki Kunzego dziś ją denerwują, a myśli, że za chwilę będzie budziła to śpiące dziecko i wlekła wszędzie ze sobą, spuściła z wodzy jej nerwy.

— Niemieckie dzieci będą jeszcze spać sobie, a moje musi się tułać po chłodzie i rosie — krzyczy podniesionym głosem.

A Kunze na to ma jedno: to jest wojna, nie trzeba było jej wszczynać; chcieli Polacy to mają, po co napadali na Bogu ducha winnych Niemców. Bo Kunze, jak przystało na stuprocentowego Niemca jest zdania, że Polacy na nich napadli i wywołali tę wojnę.

Marta takie oszczerstwa słyszy już 4 lata; znosi je dla świętego spokoju, dla dziecka, dla męża, bo niech tylko zacznie się kłótnia, zaraz Piotr z gębą do bauera, potem bauer idzie po żandarmów, przyprowadza ich i ci biją Piotra. Dziś, że męże nie ma, nie może Marta opanować nerwów... Ma przytym widły w rękach, a dłonie okropnie świerzbią... Oh, tak wepchnąć w rozdęty brzuch bauera, pogmerać trochę w tych flakach, wytrząsnąć je i zmieszać ze śmieciami, z takimi, co to nawet na gnój sią nie nadają, a na wywóz na wyrzuciska zamiejskie...

Kunze jest za prymitywny, by zrozumieć mowę oczu niewolnicy.

— Vafluterluda! — i dalej krzyczeć, po co ona się na niego gapi zamiast pracować.

— To po jaką cholerę łazisz cały dzień za mną! Miast gonić mnie stale mógłbyś i ty popracować trochę! Nie?!

Bauer wie, że nie opłaca się kłócić, bo robota będzie stać. Wyszedł więc, mrucząc pod nosem swoje „varfluiterluda".

Ledwo jego diabli wzięli, musiała akurat dzisiaj i Kunzycha zacząć; zjawiła się nagle, kiedy Marta usiadła na chwilę, by wzburzone nerwy do ładu doprowadzić, zastanowić się, do czego znów się wziąć; traciła czasem głowę ze zdenerwowania. Bauerka ujrzawszy próżnującą Martę, skoczyła jak wściekła:

— Du polnische Schweine! bist du nicht ausgeschlafen?

Wstrętna, zaspana, rano była podobna do czarownicy. Włosy jej opadające na łojowaty kark, wyglądały jak niedognite na stercie gnoju pokrzywy; łapy grożące Marcie czyniły widok cęgów używanych do tortur. Pieniąc się niegorzej od swego małżonka doskoczyła do Marty z pazurami, ale odskoczyła szybko: Marta nadstawiła widły i warknęła strasznie: — Ach ty plugawe ścierwo! ty na mnie? za co?

Kunzycha odgrażając się jak zwykle w takich wypadkach żandarmami, uciekała mało nóg nie łamiąc na progu stajni. A Marta przygotowała się na wypadek, gdyby teraz bauer nadszedł przysłany przez swą połowicę: dużo mu nie zrobi, ale gdy coś zacznie — jak mu chlapnie w mordę tym łajnem spod krowy, to zapamięta na całe życie!

Nie przyszedł jednak. Lecz nie miała czasu nad tym więcej myśleć, bo na górze Mitka podniosła wrzask. Dziecko instynktownie wyczuwa nieobecność matki, budzi się i niepokoi, a gdy matka wraca na górę, dziecko na jej widok uspokaja się, bęc z powrotem na łóżko i śpi spokojnie, boć przecież mamusia tuż. I Marcie znów robi się żal dziecka, bo jakże rozbrajającym jest widok, gdy ono tak cudownie leży! Marta znów zapomina o świecie. Siada obok dziecka, ale w tej chwili opętańcze wrzaski i przekleństwa bauerki przypominają o niewoli i z ciężkim sercem budzi Mitkę, lecz ta ani rusz nie chce wstawać. Okręca więc senne dziecko w łachmany i na rękach wynosi na dwór.

Te chwile dla Marty są najcięższe; takie codzień ma już od 4 lat; Marta wyczuwa jednak, że kończy się już wszystko...

Buumm - bbbuubbuum!

To donośniejsze odgłosy frontu. Marta obiecuje sobie, jak to będzie na kawałki krajać bauera, solić każdą rankę, jak bauerce będzie oczy wykłuwać i ślepie jej dzieciom da do zabawy... już wkrótce to ma nastąpić.

Bierze ze sobą dziecko i wychodzi. Mitki nie można zostawić samej. A nuż dziecko



otworzy okno i wyleci na brukowany dziedziniec?

Jeśli Marta jest blisko domu, przy sprzątaniu stajni i gdy Piotr jest w pobliżu, to obaw mniej, bo stale oboje uważają, i co dwie pary oczu, to nie jedna. Ale gdy małżeństwo jest rozdzielone pracą (Marta gdzieś na polu a Piotr w ogrodzie) dużo zmartwień jest z dzieckiem.

Zawiniętą w szmaty Mitkę ułożyła w szopie stojącej niedaleko inspektów i zabrała się pracowicie do pielenia rozsady.

Dawniej Marta pieliła inaczej, niżeli w tym roku: chwasty wydzierała tylko z wierzchu, aby korzonków jak najwięcej w ziemi zostawało, aby odrastały znów. A gdy przychodził bauer i po raz setny pokazywał jak to się robi „sauba", Marta szydziła po polsku: Ja moje paznokcie muszę na manicure oszczędzać; ty masz niemieckie pazury, to drzyj; tobie przyszłoby bardzo łatwo nawet życie mojemu dziecku wydrzeć.

Kunze nie rozumiał, ale wiedział, że to coś „frech" i znów była z tego awantura; czasami bauer był wściekły i zamierzył się, uderzyć chciał, ale Marta chwytała za rydel, łopatę, motykę, co było pod ręką i syczała: komm... komm... chodź ty, pruska gadzino!

Po takiej kłótni miała spokój cały dzień, albo wypadła awantura taka, że i mąż w niej brał udział za co znów zbierał bicie od żandarmów.

Dzisiaj pieli bardzo ostrożnie, „sauba", jak to mówią Niemcy. Tak, jakby była przy pracy na swojej gospodarce: Marta wie, jest pewna, że z inspektów tych rozsada dla kogo innego w plon wyrośnie.

* * *

Ogląda się Marta przypomniawszy córeczkę — ale Mitki nie ma już.

— Mitka! Mitka! — krzyczy zaniepokojona matka, lecz napróżno. Dziecko ulotniło się nie wiedzieć kiedy.

I gdzie ją teraz szukać? Kunze się znów wścieknie, boć przecież tak dużo czasu zmarnowała mu niewolnica dzisiaj.

Co ją to obchodzi. Niech się wścieknie. Idzie za Mitką.

Marta szuka najpierw po całym ogrodzie; na szczęście Mitka ukazuje się spoza opłotków. Niesie coś... Słoik... O, jaki duży! Może litrowy albo i większy! O jej, pełny! Boże, cuda się dzieją, w słoju złociusieńki miód!

Mitka przyszła z tej strony, gdzie mieszka sąsiadka Kunzego Henowa, właścicielka sklepu w Lissie, wstrętna Niemka-hitlerówka, która dwa lata temu wyrzuciła Martę ze swego sklepu, kiedy Marta po cukierki dla Mitki udała się do niej. Wstrętna niemczycha pokazała wtedy Marcie tabliczkę z napisem „Polakom i Żydom słodyczy nie sprzedaje się" i huknęła na Martę: „Fort, fort du Schweine Polin!"

Teraz Henowa jak nie ta sama, od czasu do czasu przywoła przez płot Mitkę i da cukierka; parę dni temu wzięła dziecko do domu i poczęstowała kromką chleba z miodem.

Marta pamięta odkąd Henowa taka dobra: od kiedy zaczęło na dobre grzmieć, od kiedy na ustach wszystkich tutaj słowa: Goerlitz, Bautzen, Bolschewiste sehr nahe itp.; od tego czasu i miód w pyskach, i podarek w ręku.

Marta jednak nie może uwierzyć, aby Henowa aż litrem miodu poczęstowała dziecko; tego nie byłoby nawet, gdyby bolszewicy tutaj byli.

Ukradła widocznie. Wiedziało dziecko, gdzie Henowa to przechowuje — myśli Marta — i polazła tam smarkula. Kochana!

Marta nie krzyczy teraz na Mitkę, a śmieje się i szybko słój w szmaty okręca i stawia obok siebie.

— Kto ci to dał?

— Mitulka sama sobie dała.

Marta znów się śmieje. Mitka jeszcze nie zna słowa „kraść"; jeżeli przyniesie coś ze słodyczy, a powie „pani dała" — Marta wie, że to szczery podarunek od tych Niemców, których tutaj „Socialdemokraten" nazywają, albo od tych hitlerówek przekupny haracz, które już teraz pragną zaskarbić łaski Polaków w obawie przed zemstą. A gdy Mitka przywlecze czasem jakiś wózek z lalą i powie: „Mitulka sama dała" — Marta wie — ukradzione to i muszą obie wędrować po wsi aż znajdą właścicielkę i oddadzą, żeby jakiej awantury nie było.

Marta nie może teraz wyjść z podziwu, w jaki sposób Mitka zdobyła ten słój.

— Powiedz mi prawdę, skąd to masz, co? Kto ci dał?

— Mitulka sama sobie dała, co chcesz ode mnie!

Ale naraz mała widocznie przypomina sobie, że to co „Mitulka dała" trzeba oddać, bo zaraz przekręca:

— Nie, nie mamusiu, to Mitulka nie dała, to pani dała!

Innym razem Marta może i zmartwiłaby się, że taki brzdąc i już kłamie jak najęty, ale dziś — sprawia jej to radość.

A Mitka już natarczywie upomina się o swą zdobycz:

— Daj to, daj, bo to moje! Honig daj, ja sobie sama dałam!

— Cicho Mitulko, teraz nie, bo jak Kuc zobaczy, to odbierze.

To Kunzego nazywają między sobą „Kucem".

A Mitka ani słyszeć nie chce tylko wrzeszczy swoje: Daj Honig, daj mój! Ja chcem jeść, jak mi nie das, to powiem tatusowi.

I płakać zaczyna. Marta uspokaja jak może, ale mała wciąż swoje. Żeby Henowa nie dosłyszała słowo „Honig", Marta wzięła Mitkę do szopy i tam nakarmiła słodyczą. Dziecko obżarte resztę przedpołudnia spędza spokojnie przy matce.

W południe, kiedy Kunzycha zawołała na obiad, Marta zabrała słój ze sobą na stryszek. Tutaj Mitka znów wszczęła awanturę o swój miód.

— Mitulko kochana, musimy uważać, bo jak Kuc zobaczy to odbierze!

— Niech psydzie! Ja mu tez powiem kommkomm i wezmę spaten na niego!

— Nie mówi się spaten, tylko ry-del!

— A, to ja tez i ly-del wezmę na niego!

Boże, jakież to rozkoszne dziecko! I tyle lat w tej wstrętnej niewoli! Czyż można miód odbierać? Niech je! A jak wpadnie Kuc, pies mu mordę lizał, niech widzi!

Po takiej uczcie, oczywiście że mała ani patrzeć nie chce na nędzny niewolniczy obiad. — Mamusiu, ja telaz chcem spać — prosi i układa się na posłaniu.

— Już do ogrodu idziemy, złotko!

— Ale ja chcem spać i juz.

— W ogrodzie położę cię.

— Kiedy ja chcem tutaj. W oglodzie mnie pscoła uglyzie i będem spuchnięta albo się utopię w basenie. Psecie sama mówis, ze w basenie sie mozna utopić.

Mitka śpiąca, prawie, że leci z nóg, ale i Marcie też łóżko pachnie, lecz cóż robić... Niewola, niewola... A tak przespałaby się chociaż z godzinkę.

W ogrodzie ułożyła Mitkę obok płotu Henego i pieli.

Dzień powszedni, bauerski dzień pracy wlecze się bez końca, a noc — parę jej godzin — też ani snem, ani wypoczynkiem nie jest, a jakby dalszym ciągiem dnia bez końca: noc dla Polaka tutaj — to jakby dla konia chwilowa pauza między wyprzągnięciem od wozu z gnojem, a zaprzągnięciem do pługa.

Jak może się dzień dłużyć przy tak nudnej pracy jak pielenie! Przy tym Marcie powieki ciężą ołowiem, kleją się, aż musiała iść do basenu i obmyć. Ma spokój, lecz nie na długo. Za chwilę to samo, i dzień dłuży się, dłuży bez końca. Kręćka można dostać! Kiedy Piotr jest w ogrodzie, czas prędzej leci. Chociaż Kuc rozdziela ich, rozmieszczając na dwóch krańcach ogrodu, lub posyłając jedno na pole, to jednak myśl, że tu jest w Lissie, skraca czas męki.

Ale te oczy... ciężą, zamykają się same... spać, o Boże, trochę spać...

W pewnej chwili cały inspekt z rozsadą wydaje się Marcie zielono - żółto - seledynowym pięknym pasiakiem łowickim, na który Marta kładzie się i zasypia w najlepsze. Lecz nie spała długo; zaraz zbudził ją rozpaczliwy krzyk Mitki: — Mamusiu, mamusiu tylko mnie nie bij!

Zrywa się Marta. Nie na krzyk, ale instynktownie: dziecku coś złego się stało. O Boże, Mitka cała we krwi! Jest już i Kunze wrzeszczący w niebogłosy; przeklina na czym świat stoi Mitkę, że mu kilka szyb w inspektach stłukła. Marta tuli pokrwawioną córeczkę, płacze wraz z nią i klnie na Kunzego: — Ty szwabska mordo, ty, tobie o szybki chodzi, wtedy, gdy moje dziecko przez ciebie, bydlaku, pokaleczyło się tak okropnie! Ja nie powinnam pracować na ciebie, a dziecko moje wychowywać! Won, gadzie przeklęty!

I spluwa z pogardą prawie że na mordę bauera nabrzękłą żalem straty kilku marek za rozbite szybki.

Podeszła do basenu i obmywa dziecko z krwi, płacząc przy tym rzewnie, bo mała pokaleczyła się poważnie. Za chwilę zjawia się Kunzycha ze szmatkami do zawijania ranek; zimna, obojętna, bez najmniejszej iskierki współczucia. Gdyby Marcie przytrafiło się co niedobrego, martwiliby się, że nie miałby kto koło krów chodzić. Ale o Mitkę mieliby się trapić? Przecież to dziecko i tak je darmo.

Marta wydziera brutalnie gałganki z rąk bauerki i klnie: — Żebyście się już raz nażarli naszej krzywdy! Ale niedługo waszego panowania! Koniec z wami, gady cholerne!

— Tylko mnie nie bij — błagalnie prosi Mitka.

— Jak ja cię mam bić, kiedy nas niewola tak bije!

Po tym wypadku, Mitka pookręcana niczem mumia, resztę dnia spokojnie spędza przy matce.

— Coś ty tam robiła przy inspektach? Ile razy ci mówię, nie idź tam!

— Kiedy kotek tam wlaz na okienko, skocył i ja chciałam go złapać, to po co on tam wlaz i uciekał? Jak tatuś psyjedzie to poprosem zeby go złapal. Tak.

Za chwilę mała śpi. Marta pieli pod okiem znienawidzonego Kunzego, który co chwilę przychodzi i dogląda, czy Marta zbyt dużo z dzieckiem się nie pieści.

I oto niedługo, a słońce zachodzi.

Czesław Schabowski.

Anna Kamieńska

O nową poezję dla dzieci

Po dziesięć razy każą sobie dzieci odczytywać wiersze. Pamięć ich łatwo przyswaja sobie całe strofy i frazesy. Dzieci lubią wiersze. Tymczasem ich zaufanie i bezkrytyczność wobec literatury jakże są nadużywane przez dorosłych! Od dawnych czasów „Przyjaciela dzieci" aż do współczesnego „Świerszczyka" zdaje się, że poezja dla dzieci nie postąpiła kroku. Wciąż słyszą:

„Kiedyś na wsi Jaś i Lili
na podwórku się bawili
w berka czy też w chowanego
nie pamiętam dobrze tego".

Są i gładsze wierszyki i dowcipniejsze rymy, ale gdzie tu poezja? Jeśli opis przyrody, to najpewniej w nieszczęśliwych i banalnych personifikacjach miesięcy i pór roku, jeśli przedmioty, to pewno gadające i tańczące — jak gdyby nie było to sztuczne narzucanie dziecku obrazu świata, który nie jest ani światem dorosłych, ani światem dzieci.

Z pewnością zrozumienie tej poezji wymaga od rozsądku dziecka dużej pracy, ale wreszcie uparcie narzuca mu się gust na ten właśnie rodzaj literatury, przyzwyczaja się umysł i ucho do tego typu formalnego, do takich rytmów i obrazów.

W konsekwencji literatura współczesna dorosłych, z którą się styka młodzież wymaga przezwyciężenia tego gustu nabytego w dzieciństwie, przestawienia wyobraźni i zwalczenia nawyków formalnych. Literatura wierszowana przeznaczona dla dzieci nie przygotowuje czytelnika poezji współczesnej. Zakłada się z góry niemożność zrozumienia przez dzieci poezji bardziej ambitnej, nowej pod względem formalnym, choć w treści dostosowanej do umysłu dziecka. Sądzi się, że dziecko niezdolne jest do pojęcia innego obrazu poetyckiego, jak obraz stycznia chodzącego w długich butach. A przecież i ten obraz nie ma gotowej foremki w wyobraźni dziecka. Pierwsze zetknięcie się jego z literaturą żłobi dopiero właśnie te formy wyobrażeń i pojęć, do których odwołujemy się jako do psychiki dziecka.

Jeśli te formy są takie, a nie inne, ciągle takie same od dziesiątków lat — to winna bierność poetów pracujących dla dzieci. Nie odważają się oni zerwać ze schematem własnych przyzwyczajeń. Skostniałe odpadki własnej wyobraźni nazywają poezją dla dzieci.

Kiedy Maria Konopnicka pisała „Janka wędrowniczka" lub piękne wierszyki o wsi przeznaczone raczej dla paniczów i panienek ze dworu, niż dla dzieci czworackich — pisała tym stylem, co inne swoje wiersze przeznaczone dla czytelników dorosłych. Ta sama była tam atmosfera krajobrazu oddana podobnymi środkami, te same, nie łatwiejsze rymy, te same melodie wiersza. Pisała przy jednym stole. Tymczasem przeszły style i mody. Poeci powiadają dziś, że ich środki stylistyczne nie są trudniejsze od dawnych, że raczej dla umysłu uwolnionego od tępych nawyków literackich są bardziej naturalne, odpowiadające drogom kojarzenia wyobrażeń i pojęć. Przypuśćmy, że tak jest. Lecz literatura dla dzieci nie uczyniła próby w kierunku uwspółcześnienia poezji, w kierunku stworzenia klasy przygotowawczej dla literatury nowej.

Wygląda to na dziwne lekceważenie sprawy, tym bardziej, że próby takie spotykają się z dezaprobatą oficjalnych znawców literatury i psychiki dziecięcej. „Dziecko tego nie zrozumie". Łatwy zarzut, nie do odparcia.

Mówi się, że wobec nowej struktury społecznej — nowa pod względem kulturalnym warstwa chłopska podnosi się do udziału w kulturze. Nie tylko uintensywnia się proces tworzenia się inteligencji chłopskiej przez szerszy dostęp do szkół wyższych, ale wieś w masie uzyskuje możliwość korzystania z dzieł kultury, a więc przede wszystkim — książki.

Które dziecko wiejskie przed szkołą miało w ręku książkę? Kto by tam czytał wierszyki dziecku chłopskiemu? Rodzice przy pracy od rana do zmroku, a dzieciak pod piecem grzebał w popielniku, albo walał się na drodze w towarzystwie psa i gęsi.

Powstają żłobki, przedszkola. Będzie ich coraz więcej. Dziecko chłopskie zetknie się z książką. Dziecko chłopskie także będzie się popisywać zapamiętanym wierszykiem. Lecz wierszyk ten nie będzie miał ambicji wprowadzenia ładu do świata wyobrażeń dziecinnych, a będzie targał go niewczesną fantazją, nie zechce przygotowywać umysłu dziecka do szczerze poetyckiego widzenia świata, do pokazywania piękna rzeczy związanego z ich użytkiem i znaczeniem dla człowieka, nie da dziecku podstawy do przyjęcia : tworzenia nowej literatury, która z nową sytuacją historyczną nastąpi.

Dlatego też problem literatury dla dzieci powinien stać się szczególną troską Oddziału Wiejskiego Związku Literatów. Od chłopskich poetów powinny wyjść próby nowej poezji dla dzieci.

W zakresie pojęć dostępnych dziecku chłopskiemu, nieco odmiennym od zasobu umysłowości dziecka w mieście — może powstać sensowny świat poetycki dzieci, nie mniej, a może bardziej wrażliwych na dziwne, bo inne od mowy powszedniej, słowo poetyckie.

Anna Kamieńska

Pieniądz

O czym myślisz z pieniądzem w ręku?
Kupię sobie cztery konie.
Jeden koń będzie biały jak mleko.
Drugi koń będzie złoty jak kasztan wyłuskany z łupiny.
Trzeci koń będzie pstry jak nasienie fasoli.
Czwarty koń będzie czarny jak noc, co niesie gwiazdę na czole.
Poco ci aż cztery konie, kiedy jesteś mały i nóżki twoje wysoko zwisają z białego stołka?
Kiedy wstanie ranek mglisty, jakby kto rozlał w powietrzu bańkę mleka,
Zawołam białego konia.
W południe, kiedy słońce dzwoni o kłosy jęczmienia
Zawołam złotego konia.
Gdy chmury nisko wiszą nad ziemią, a pola prześwitują przez strugi deszczu
Zawołam pstrego konia.
Nocą zaś, w której szukają się gałęźmi oślepione drzewa
Czarnego zawołam konia.
Zawsze będę niewidzialny, jak zielona liszka na liściu bzu, jak czerwona wiewiórka na korze sosny.
Przed kim się chowasz? Gdy twarz ukryjesz w rączki, ojciec długo cię szuka schylając się pod ławki i stoły.
Aż i zgubiłeś pieniądz. Wypadł pewno ze spoconej ręki.
Pst, to był księżyc. Wypadł przez okno i leży tam na piasku.

Wiosna

Żółty piesek z czarnym nosem, król wiosennego podwórza straszy indyczki.
Gniewny indyk rusza na pieska.
Żółty piesek ucieka.
Chlupnął do zielonej kałuży.
Uśmiecha się do żółtego pieska w lusterku wody.
Woda skacze na brzeg, a to jest żaba.
Żaba znika pod chłodnym liściem babki.
Piesek stawia łapkę na liściu.
Białe obłoki idą niebem.
Biały płatek wiśni spada pieskowi na nos.
Piesek łapie płatek i drugi, a to jest motyl.
Motyl zatrzepotał na rzęsach pieska.
Żółty piesek ucieka.
Zielone grabie leżą na ścieżce.
Żółty piesek ucieka.
Czarny żuk wychodzi spod palców grabi.
Żółty piesek ucieka.
Wbiega na zieloną górkę.
Górka uśmiecha się dołkiem, gdzie kwitną stokrotki.
Górka kończy się nagle szczerbą złotego piasku.
Górka już nie zatrzyma kroków małego pieska,
które biegną
biegną
biegną.
Nagle pacnął na brzuszek.
Śpi wśród trybulki.

Leszek Goliński

ZIEMIA GROMADZI ŁZY

1. Na Zachodzie jest ziemia

Na Zachodzie jest ziemia. Ziemia ta w ciągu wieków stawała się widownią nowych i nowych przemian, jeżeli nie w ogniu walki i pożarów, to w milczeniu pracy ukrytej przed okiem świata. Kiedy pod naciskiem plemion germańskich cofała się Słowiańszczyzna krok za krokiem na wschód, pozostawiając jedynie na szlaku swego odwrotu pojedyncze cyple i bastiony, otoczone z wszystkich stron przez wroga, linia Odry stanowić dopiero poczęła pierwszą i trwalszą granicę. Dynastyczne targi przepuściły jednak wroga przez brody na Odrze i od tego czasu, kiedy pierwszy Germanin pojawił się na jej prawym brzegu, datuje się walka na śmierć i życie, nieprzerwana i nieubłagana. Między Odrą a Wisłą rozciąga się przestrzeń, która może być domeną albo jednych, albo drugich wpływów — w przeciwnym bowiem razie stanowi nieustanne, ogromne pole walki, której kresu nie ma. Brak granic naturalnych na międzyrzeczu odrzańsko - wiślanym, spowodował wieczną fluktuację wpływów na tym terenie. W rezultacie krótkowzrocznej polityki książąt ukrainnych i suprematu atrakcyjnej siły mocarstwa Jagiellonów, tropy nasze powiodły na wschód: rezultatem tego były pruskie pikiety nad Wisłą.

2. Awangarda Niemiec

Długi okres pokoju, który potem zapanował, przerywany był jedynie rakietami powstań. Druga Rzesza, jakiekolwiek wewnętrzne przeobrażenia przechodziła, w tym jednym była zgodna i konsekwentna: w realizacji tradycyjnego „Drang nach Osten", w kolonizacji swoich wschodnich rubieży, w likwidacji osamotnionych wysp słowiańskich.

Był to czas, kiedy nacjonalizm nie przesiąkł jeszcze do głębi narodu niemieckiego. Hakatyzm stawał się spekulacją czysto państwowo - gospodarczą, a nie narodową. Polacy, rozsiani po szerokich obszarach Pomorza i Śląska, wystawieni byli na szkodliwą działalność różnych figur urzędniczych, na szykany zarządzeń prawnych i administracyjnych, ale była to jeszcze walka paragrafów, walka pieniądza. Na codzień współżycie Niemców z Polakami dalekie było jeszcze od rasowej nienawiści. Zanim na podatną glebę padły ziarna Rosenberga, pracowicie i długo przygotowywał grunt Hanemann i Bismarck.

Wsie polskie w tych czasach stanowiły mocne i zasobne bastiony, które jednak nie podnosiły zwodzonych mostów. To też do wsi tych dostawał się niemiecki kupiec, urzędnik, nauczyciel. Wpływ ich działał na dusze społeczeństwa, wsiąkał w atmosferę wsi, byli oni awangardą wojującej niemczyzny. Czym bliżej Odry, tym łatwiejsze i szybsze było ich zwycięstwo. Czym bliżej dawnego kordonu polsko-niemieckiego, tym bardziej beznadziejne były ich usiłowania. Najsilniej trwało przy wierze i mowie ojców Opole i Śląsk, pamiętające dobrze Sobieskiego i Marię Kazimierę, żyjące najdłużej w tradycji wprawdzie zniemczałych, ale zawsze Piastów Śląskich. Tuż za nim postępowały czysto polskie powiaty Ziemi Lubuskiej, jeszcze za Sasów przesiąknięte kulturą ludową polską. Pomorze Zachodnie najsłabszą było pozycją w ogólnym układzie sił, ale tu w grę wchodził separatyzm kaszubski, odległość terenów od centrów kultury polskiej, skupienie ziemi w ręku obszarników — junkrów pruskich, wreszcie niejednokrotnie odrębność wyznania, szczególnie na Mazurach i Warmii. Tutaj też najprędzej ponieśliśmy klęskę, której już ani czas ani trud pokoleń naprawić nie potrafił.

3. Salon i schody kuchenne.

W obliczu scentralizowanej, przeprowadzonej z całą premedytacją akcji niemieckiej wynaradawiającej — żywioł polski znalazł się zupełnie osamotniony i rozbity. Miasta, właściciele większych obszarów poza małymi wyjątkami na terenie b. Prus Wschodnich uległy stuprocentowej germanizacji. Ostatnie ślady ich polskości pozostały w sufiksach nazwisk na „sky" lub „itsch", co się stało cechą rodową „szlachty pruskiej". Jeżeli w połowie 19-go wieku rozmawiano jeszcze w Wrocławiu po polsku, to rozmawiano jedynie na kuchennych schodach, wśród służby domowej, pochodzącej z wsi śląskiej. Na schodach frontowych mówiło się tylko „językiem panów". W określeniu tym zamyka się cała istotna prawda: wieś polska i tylko wieś na ziemiach śląskiej, lubuskiej, pomorskiej, mazurskiej czy warmijskiej pozostała polską.

W obliczu nieuchronnej zagłady polskiej kultury ludowej Polonia w Niemczech stanęła przed problemem albo biernego oporu, albo akcji ofensywnej, albo przed możliwością kompletnej i kapitalnej klęski. Ponieważ warunki i stosunki nie pozwalały na stworzenie jednego, agresywnego frontu obrony, poczęto przemyśliwać nad formą pośrednią, nad organizowaniem miejscowych kół polskich w stowarzyszenia śpiewacze, gimnastyczne i inne, tak szeroko rozpowszechnione wśród Niemców. W ten sposób powstają pierwsze chóry polskie, najczęściej chóry kościelne, jak słynny chór Św. Cecylii ze Złotowa, które pielęgnują polską pieśń, a pod jej pokrywką polską kulturę i polską myśl narodową. Chórom polskim w Niemczech należy się specjalna karta w historii polskiej kultury. Z nich bowiem zrodziły się późniejsze wielkie organizacje polskiej mniejszości narodowej w Niemczech, w nich skupił się najwartościowszy element. Chóry te musiały niejednokrotnie śpiewać mormorando, gdy zabroniono języka polskiego: pozostała jednak polska melodia i ta była wymownym symbolem buntu i protestu.

4. Wojna budzi narody

Przedostatnia wojna światowa, jeżeli z jednej strony wyrządziła ogromne szkody materialne przede wszystkim w ludziach i wskutek germanizacji tych ludzi w ogniu „braterstwa broni" w armii niemieckiej, to z drugiej była wiosną narodów, jeżeli idzie o rozbudzenie ich dumy i świadomości własnego ja. Niewątpliwie proces ten, na którego rozwój oddziałały poważnie okrzyczane punkty Wilsona, w wyniku przerostów i degeneracji słusznych w swoim założeniu ideologii doprowadził do wszelkich faszyzmów i rasizmów. Na każdą akcję jest jednak kontrakcja: rasizm niemiecki musiał siłą faktu i głoszonych przez siebie zasad rozbudzić silne poczucie odrębności narodowej Polaków. Sąsiedzi zaczęli spoglądać na siebie spode łba. Rozagitowana młodzież niemiecka ciągnęła pod znaki Hitlera. Rozpoczął się reżim brunatnych bojówek, prawa pięści i upokorzenia mniejszości narodowych. Polska jako państwo, miała związane ręce, posiadając w swoich granicach stosunkowo znaczną ilość Niemców. Wszelkie odwety na tej mniejszości pociągnęły by za sobą natychmiastową eksterminację półtoramilionowej rzeszy Polaków w Niemczech. Zresztą ówczesny rząd polski szukał w koncepcji Jagiellonów źródeł własnej potęgi i spodziewał się łatwych zdobyczy na wschodzie, zachód pozostawiając własnemu, a właściwie niemieckiemu losowi. Granice wersalskie znów rozpołowiły pole bitwy między Odrą a Nissą, uwieszając w dodatku na szyi Polski potwornego raka — Prusy Wschodnie. Nic więc dziwnego, że granice te stały się płonącymi granicami. Potrzeba było tylko odpowiedniego zagęszczenia atmosfery, aby doprowadzić do nieobliczalnej w skutkach eksplozji. Roli tej podjął się z całą premedytacją i odpowiedzialnością Adolf Hitler.

5. Od gazety do piłki nożnej

Polacy w Niemczech zdołali już utworzyć własny schemat organizacyjny i zawiązać Związek Polaków w Niemczech. Była to jedyna w swoim rodzaju organizacja, bo nie bazowała na miastach, tylko na wsi, bo nie gromadziła inteligencji, tylko wrośniętych w ojcowy zagon chłopów, umiejących ten zagon cenić tym mocniej, im mocniej ich z niego wyganiano. Związek Polaków wyłonił ze swoich szeregów nowych ludzi, kierowników, społeczników, oświatowców. Od muzyki do spółdzielni, od gazety do piłki nożnej — oto cała gama zainteresowań i kierunku jego działalności. Rada Naczelna Związku stanowiła sui generis rząd Polonii niemieckiej. W imieniu półtoramilionowej rzeszy Polaków zwracała się do ówczesnego kanclerza Reichu z prośbami i petycjami, otwierała oczy swoim członkom na specyficzne metody władz niemieckich, które paraliżowały na każdym kroku rozwój szkolnictwa, spółdzielczości, czy prasy polskiej. Przez swoiste metody w spisach ludności usiłowano sztucznie zmniejszyć ilość Polaków w Niemczech. Dążeniem rządu Trzeciej Rzeszy było utrzymanie analfabetyzmu wśród ludności polskiej, był bojkot wspaniale się rozwijającej spółdzielczości. Szkoła i bank polski mogły się stać dla Niemców realną groźbą i kompromitacją wobec świata. Paktując więc z jednej strony z Beckiem z drugiej strony Hitler „uspokajał" chłopa polskiego z Opola czy Ziemi Lubuskiej. Jakie były metody tego „uspokajania", każdemu chyba wiadomo, kto żyje w Europie.

6. „Lud polski się nie da"

Na tle tak zarysowujących się stosunków wspomnieć trzeba o księdzu dr. Bolesławie Domańskim, wielkim działaczu na terenie Krainy (dzisiejsza Ziemia Złotowska) i prezesie Związku Polaków w Niemczech. Dzięki niemu powstaje także Związek Spółdzielni Polskich w Niemczech, Bank Słowiański, Związek Polskich Towarzystw Szkolnych i t. d. W samej tylko Dzielnicy V Związku Polaków w Niemczech powstało 31 oddziałów Związku, 32 Towarzystwa Młodzieży Polskiej, 28 świetlic, 32 biblioteki, 30 kółek Przysposobienia Rolniczego, nie licząc już zespołów muzycznych, śpiewaczych, i sportowych. Mimo poważnej ilości szkół powszechnych, mógł Związek Polaków wywalczyć tylko jedno gimnazjum, podczas gdy Niemcy dysponowali w Polsce całą ich siecią.

Zwrócić trzeba uwagę, że w pracy swojej Polacy na terenie Niemiec byli niemal zupełnie osamotnieni i zdani na własne siły. Rząd ówczesnej Polski dbał więcej o plony polowania Goeringa w Białowieży, niż o los dziecka polskiego w Niemczech, którego w drodze do szkoły napadały bojówki HJ. Bojąc się rozdrażnienia Niemiec, rząd sanacyjny rzucał w ofierze 800 tysięcy Polaków Śląska Opolskiego, 350 tysięcy Polaków Ziemi Mazurskiej, Warmijskiej i Malborskiej, 200 tysięcy Polaków z Pogranicza i Kaszub, 100 tysięcy Polaków z Ziemi Połabskiej (w tym 35 tysięcy w samym Berlinie) i 150 tysięcy Polaków w Westfalii i Nadrenii.

„Lud polski się nie da" — powiedział na łożu śmierci ks. Domański. I nie dał się lud polski. Nie ustraszyły go żadne szykany i prześladowania, które mnożyły się z roku na rok w sposób zastraszający. Nie wszędzie można było wzorem Gdańska, organizować czynne grupy obronne, złożone głównie z młodzieży. Gdańsk był choć z pozoru Wolnym Miastem — Polacy w Niemczech przeznaczeni byli na niewolników „herrenvolku", który często, jakże często nosił jeszcze zniekształcone polskie nazwiska.

7. Etymologia w ogniu Katiusz

Wybuchła nowa wojna i sztandary Rodła powędrować musiały do przemyślnych schronów. Jeżeli spotykałeś kiedy na ulicach Warszawy czy Krakowa żołnierza w znienawidzonym mundurze Wehrmachtu, który łamaną częstokroć polszczyzną pytał cię o ulicę czy godzinę, nie zawsze miałeś prawo plunąć za nim. Nie zasłużyli na to ludzie spod znaku Rodła. Prawda, nie było ich wielu. Młodzież, zaciągnięta w szeregi armii niemieckiej częstokroć zgangrenowana już była i przesiąkła hitleryzmem. Hajoty i wyśmiewanie zrobiły swoje, choć „muterka" szeptała gdzieś tam w kościele za duszę syna archaiczną, cudownie piękną polszczyzną: „Wotcze nasz..."

Przyszedł rok 1945 i między Wisłą a Odrą rozszalała najokropniejsza i największa w dziejach bitwa. Tym razem miało się ku końcowi niemieckiemu światu. Przez uśpione wsie Opola, Lubuszy i Krainy, między lasy i jeziora Mazur wtargnęły zabłocone po uszy czołgi, a za nimi niepozorni zmęczeni ludzie, którzy mieli za sobą sześć lat wojny i poniewierki, lata frontu i setki kilometrów marszu. Jeżeli to wszystko piszę, to tylko w celu pierwszego i ostatniego wytłumaczenia żołnierza polskiego i radzieckiego, jeżeli w pierwszym impecie ataku i pogoni nie odróżnił świątobliwej babki opolskiej w krochmalonym czepcu od uśmiechniętej bojaźliwie i przymilnie szwabskiej grosmutter. Nie było czasu na studia etymologiczne czy historyczne, gdy biły Katiusze, a na głowy leciał grad bomb niemieckich.

Wtedy ziemia zaczęła najbardziej gromadzić łzy. Wyrządzono Polakom autochtonom, gospodarzom z ojca praojca na roli osiadłym cały ogrom krzywd, których moralnie nikt już nie naprawi. Rozbito rodziny, zburzono lub zdewastowano domy, wieś polska tak jak niemiecka dymiła ogniem pożarów. Ale to nie było najgorsze. Najgorsze przyszło dopiero, gdy organa bezpieczeństwa czy administracji na najniższych, a zatem najbliższych wsi szczeblach zajęli ludzie mali, niedorośli do zadań i problemów, przed którymi stanęli na naszych Ziemiach Odzyskanych. Opowiadano mi, że jakiś kacyk na Opolu weryfikację i wysiedlenia za Odrę dokonywał na podstawie spisu alfabetycznego mieszkańców powiatu. Biedny chałupnik łatwo zyskiwał rehabilitację, gorzej było z zamożniejszym gospodarzem, który miał piękną zagrodę i inwentarz. Tego przecież brakowało, bo Niemcy w większości wypadków (specjalnie Niemcy bogatsi) uciekli, a domy ich rozszabrowano już doszczętnie. Na dobytek takiego więc Polaka patrzono z pożądaniem i doszukiwano się wszelkich racji, aby spowodować wysiedlenie nieszczęśliwca i wejść w posiadanie jego gospodarstwa. Wypadki takie ulegają na szczęście coraz bardziej konsekwentnej likwidacji. W sprawie tej zabrał już głos Minister Ziem Odzyskanych wicepremier Ob. Gomułka, ze zbyt gorliwymi urzędnikami rozprawił się na swojej ziemi, jej syn — wojewoda gen. Zawadzki. Dużo, dużo pozostało jednak krzywd, które wymagają naprawy i rekompensaty. Repatriant, osadzony na gospodarstwie zweryfikowanego w międzyczasie autochtona musi otrzymać inne gospodarstwo, choć akt taki wzbudzi w nim gorycz i żałość. Wysiedleni nieprawnie za Odrę Polacy muszą wrócić do kraju. Musi wreszcie opuścić Smętek najbardziej pokrzywdzoną ziemię — Warmię i Mazury.

Marianna Witkowska

ZE DWORU DO ŁODZI

Życiorysy chłopskie (III))*

Pisać o sobie szczerze jest bardzo trudno. Jeżeli się powie wszystko, będzie to nieprawdopodobne, jeżeli się coś zatai, taki życiorys nie będzie wiele wart, bo będzie sztuczny. W moim życiu jest dużo ciekawych rzeczy, choć jestem jeszcze młoda i nie długo żyję na świecie. Żeby nic więc nie osłabić ani nie umniejszyć, postanowiłam szczerze wszystko ze swego życia opisać. Może się to komuś nie podobać, może ktoś nie uwierzyć, ale ja swoje powiem dokładnie, bo mi się zdaje, że takie rzeczy powinny być omówione głośno i otwarcie.

NAJBLIŻSZE OTOCZENIE

Urodziłam się dnia 17 lipca 1920 roku we wsi M. w powiecie łaskim. M. jest to duże osiedle. Składa się na nie kościół, wieś i dwór. Dwór jest na wzgórzu otoczony sadem. Niżej leżą budynki dworskie: długie stajnie, obory, owczarnie i stodoły. Potem jest rzeczka ze stawem, a za stawem trzy duże budynki, do których się wchodzi i z końców i z boków. To są mieszkania służby folwarcznej — fornali, posyłkarzy, robotników, włodarza i polowego. U nas nazywają to „kosiary".

Bardzo ciekawie wygląda takie mieszkanie fornala. Ze dworu wchodzi się do dużej sieni. W sieni na wprost są dwa chlewiki dla świń, a nad nimi grzędy dla kur. Na boki rozchodzi się dwoje drzwi do mieszkań ludzkich. W takim mieszkaniu są dwa albo trzy łóżka, wyrko dla dzieci, bo łóżka są tylko dla starszych. Koło drzwi jest z jednej strony komin do gotowania, a po drugiej serwantka na naczynia kuchenne. Pod oknem stoi kuferek, a po drugiej stronie mieszkania szafa na rzeczy, ale to tylko u bogatszych.

Przed oknami takich „kosiar" stoją nieduże budki. Tam jest drzewo, balia, narzędzia, koszyki i inne graty domowe, na które nie ma miejsca w domu. Koło budki jest jeszcze dół na kartofle. Opatrzony na zimę a zaniedbany latem, bo już niepotrzebny.

MOJA MATKA I RODZINA

Urodziłam się właśnie w takiej izbie folwarcznej. Moja matka miała mnie w stanie panieńskim i noszę nazwisko matki. Dziadek mój, ojciec mojej matki, był fornalem. Miał na opiece i do roboty cztery konie dworskie. Orał nimi, zwoził z pola, jeździł do miasta, do boru, wszędzie tam, gdzie miał polecone. Dzieci nas było w domu pięcioro. Wszystko to pożeniło się i powychodziło za mąż i siedziało trochę w naszym dworze, a trochę po innych bliskich. Matka była najmłodsza i za mąż nie wyszła. Może dlatego, że nie była zbyt urodna, a może dlatego, że była trochę kulawa.

Babka była zawsze w domu. Do niej należało gotowanie jedzenia, oprzątanie świń, noszenie jedzenia w pole, jeżeli nas młodych albo dzieci nie było. Tak samo babka musiała w południe chodzić do dworu doić krowy pańskie. Moi wujkowie i ciotki dopóki byli w domu, to robili razem dla domu, a jak się pobierali, to po pewnym czasie zakładali swoje rodziny. Rodzice kupowali im ubrania, buty i dawali drobne kwoty na zabawy, przyjemności i wyjazdy.

Dziadek był w domu gościem. O świcie szedł do stajni budzony przez starszego fornala, w południe wpadał na obiad po oporządzeniu koni, wieczorem przychodził już po wszystkich. Tak samo po wykonaniu wszystkich prac przy koniach.

JA I RODZINA

Nazywali mnie — nie będę ukrywać — „znajdkiem". Nie zawsze co prawda, ale przy najmniejszej złości. Każdy — nikogo nie wyłączając. Potem jak byłam większa i coś nie coś rozumiałam, to „dzikiem", dla tego, że się wstydziłam i kryłam potem w pustym dole, po tej komórce przed domem i gdzie się dało. Najlepiej się czułam wtedy, jak uciekłam z domu za „kosiary" w pole, gdzie była wielka sterta słomy. Tam czasem weszłam na wierzch i patrzyłam na okolicę. Widać z niej było wieżę kościoła i krzyż, jak się świecił w słońcu.

Pierwsze bolesne wydarzenie pamiętam bardzo dobrze. U naszego sąsiada rosła bania. Rozłożyła łodygę po dole na kartofle i weszła potem aż na płot. W pewnym miejscu tej łodygi uwiązała się na płocie mała zielona dyńka, taka duża jak jabłko. Ja tę dyńkę urwałam, bo mi się tak podobała. Sąsiadka to zobaczyła i zaczęła wymyślać:

— Co to za wychowanie tego znajdka. Nic nie może być koło domu, bo wszystko zniszczy. To tylko łapy poutrącać!... — wymyślała okropnie, złorzeczyła wszystkim i pokłóciła się z moją babką wtedy bardzo mocno. Przeprosiły się dopiero pewnie po dwóch latach.

Babka mnie wtedy złapała i zbiła po gołym siedzeniu pokrzywami na pamiątkę, żebym nie rwała cudzej bani. Potem już nie rwałam. Ta pamiątka pomogła.

Drugie bolesne zdarzenie to było takie. Wspinałam się po kupce ziemniaków, potem się zsunęłam niechcący i tak jakoś nieszczęśliwie na rękę, że wywichnęłam sobie ramię w stawie w barku. Babka z matką zaniosły mnie do owczarza dworskiego i on mi tę rękę wstawiał. Wziął mnie między kolana, zdjął sukienkę i naciągał. Bolało mnie tak strasznie, że widziałam wszystkie gwiazdy przez pułap. Ale rękę miałam potem zdrową. Ten owczarz to był wielki lekarz. On prawie wszystko umiał, wszystkie choroby rozpoznał. Nawet dzieci odbierał.

Potem jak skasowali we dworze owce, to on stracił pracę, ale i tak mu się źle nie działo, bo zamieszkał niedaleko i wciąż ludzi leczył, a nawet kupił sobie pola sporo za to swoje doktorstwo.

O MOJEJ MATCE

Moja matka chodziła na pańskie ze wszystkimi do roboty. Na wiosnę pełła chwasty w burakach, w lecie zbierała za kosiarzem, w jesieni kopała ziemniaki i buraki, w zimie zajęta była w podwórku przy pracach w stodole, w oborze i stajniach.

Jednego razu posługaczka pisarzowa wyszła za mąż i otwarło się wolne miejsce. To wtedy rządca z pisarzem uradzili, żeby się tej pracy podjęła matka moja. Matka musiała się zgodzić. Miała lżejszą pracę, nie mokła, nie marzła, chodziła czyściej ubrana, nie napracowała się tak ciężko. Miała tak samo więcej wolnego czasu, nie musiała już słuchać włódarza, ani w pole daleko chodzić do żniwa.

Miała wtedy zdaje się dwadzieścia lat i mnie wtedy urodziła. Jak potem podrosłam i zaczęłam pojmować pewne sprawy pomiędzy ludźmi, to i to zrozumiałam, dlaczego na mnie ludzie mówili „pisarzowa córka", albo „pisarzów znajdek". Od wielu, wielu ludzi słyszałam to przezwisko, nawet wtedy, jak już byłam dorosła. Ludzie mi to pamiętali i pamiętają do dziś dnia. Czy pamiętają teraz? Nie chce mi się nawet myśleć, ale pewnie tak. Stąd tu, kiedy przypominam sobie swoje strony rodzinne i myślę o nich z rozrzewnieniem, to nie chce mieć na uwadze ludzi, bo mi się zdaje, że stać byłoby ich jeszcze na powiedzenie o mnie: „ty znajdku!"

Po urodzeniu mnie matka już u pisarza nie sprzątała. Nie posyłali jej także na pole. Została takim potłukiem koło kuchni podwórzowej, gdzie się gotowało jeść tym, co stołowali się we dworze, gdzie się gotowało żarcie świniom, psom, kurom. Tam matka dochodziła z domu od rodziców swoich, a moich dziadków. Matka już za mąż nie wyszła.

Matka zginęła w wojnę. Wkroczenie Niemców zastało ją w sąsiedniej wsi. Ponieważ matka się chowała w kartoflach razem ze wszystkimi ludźmi, to Niemcy strzelali do tych chowających się jak do zajęcy i ona wtedy została zabita. Zginęło tam w tej wsi osiemnaście osób.

Zostałam wtedy z babką, ale już mi rodzina nie była potrzebna: miałam dziewiętnaście lat i pracowałam do domu babki tak, jakbym była jej córką.

Matka była cicha, małomówna. Nie kłóciła się z nikim prawie, ale jak jej powiedzieli, że mnie przezywają od „znajdka", to wieczorem, kiedy przyszła z podwórza, brała mnie na kolana, głaskała mnie po włosach i zdaje mi się płakała, bo tylko jej się pierś trzęsła i tak dziwnie grzdukała gardłem, jakby piła wodę.

Czasem się z nią kłóciłam i wymawiałam jej samą siebie, ale jak byłam daleko od domu i tak sobie o niej pomyślałam, że tam w tej chwili chodzi kulawo pomiędzy kurnikiem a kuchnią podwórzową, to mi się na łzy zbierało i żałowałam jej bardzo.

Tym bardziej teraz tu z Łodzi, kiedy się od tamtych ludzi zupełnie oderwałam.

O MOIM OJCU

Historia mojego nieprawego ojca jest bardzo ciekawa. O takim ta nawet w książkach piszą nieraz. Poznałam go i — ueuz żyje jeszcze dotychczas, ma żonę, dwoje dzieci, dzieci te kształci. Teraz się już podstarzał. Dzieci już dorastają. Nie wiem, czy pamięta moją kulawą matkę i czy wie, że jestem jego córką? Ale chyba wie?

Nie pochodzi z tych stron, co moja matka.

Przed tamtą wojną (1914—1918) był taki zwyczaj, że do naszego dworu przyjeżdżali skądś zdaleka na czas wiosenny i letni ludzie do roboty . Na kilka miesięcy. U nas nazywali ich „miesięczniki" dlatego, że byli tylko kilka miesięcy. Przyjeżdżali w kwietniu, a odjeżdżali po kopaniu kartofli.

Skąd byli, nie wiem, ale może ich kto pozna, bo zanim się nauczyli po naszemu mówić, to pomiędzy sobą gadali trochę inaczej od nas. My mówimy robią, stają, śmieją się, kopią — a oni wymawiali: robio, stojo, śmiejo sie, kopio.

Przyjechali całą gromadą do dworu, mieli dwie izby w kosiarach przeznaczone dla siebie. Jedna była dla chłopaków, a druga dla dziewcząt. Jadali w kuchni podwórzowej, sypiali na takich wyrkach bez pościeli, bez prześcieradeł, przykrywali się tylko kapotami, a dziewczyny chustkami. Wojna ich zastała na tym miejscu i już większość nie pojechała w rodzinne strony.

Mój niby - ojciec był młody, wysoki, przystojny. Różnił się od wszystkich ludzi na okolicę. Pracował tylko kilka pierwszych miesięcy, bo potem zaczęła się jego wielka kariera, a w jaki sposób zaraz opowiem.

Chował on króliki i dawał im jeść tylko to, co zabrał z pańskiego pola: koniczynę, seradelę, marchew. Jednego razu idzie sobie z pola w biały dzień w południe i niesie pęk marchwi. Idzie, a tu na niego wyszedł akurat dziedzic, który wybrał się w pole na przechadzkę.

Dziedzic się oburzył:

— Skąd ty idziesz? I co ty masz?

Ojciec był spokojny, jak gdyby nic.

— Ano jakich to jaśnie pan ma polowych. Idę do domu spod granic, a tam jacyś chłopcy rwą marchew. Odpędziłem ich, zabrałem im te marchwie i niosę pokazać jaśnie panu...

Dziedzic ucieszony taką wierną służbą z miejsca zwolnił jednego polowego, przegnał go do koni, a na jego miejsce zrobił polowym właśnie mojego ojca. Ale i polowym ojciec był niedługo.

DALSZA KARIERA

Ojciec poznał słabą stronę dziedzica i już wiedział, co robić. Niedaleko od dworu był bór. W nim w pewnym miejscu rosły posadzone całe zagajniki modrzewia. Dziedzic bardzo często odwiedzał ten zagajnik i cieszył się drzewkami. Były młode, tłuste, gibkie i wysmukłe. Sadził te modrzewie stary, wysłużony gajowy, który już zęby zjadł na pilnowaniu boru i zajęciach w lesie. Bór kochał po prostu i nie mógł bez niego żyć (jak się później okazało).

Ojciec razu pewnego wlazł w środek zagajnika, urżnął scyzorykiem kilka najdorodniejszych modrzewi, wziął je pod pachę i zaniósł do dworu. Dziedzic jadł wtedy obiad, ale ojciec nie czekał na nic, tylko kazał się meldować dziedzicowi i pokazał mu ścięte modrzewie.

—O, proszę jaśnie pana, znalazłem to na dróżce w zagajniku. Szedłem przez bór i widzę, że jacyś chłopi tną modrzew na biczyska. Zacząłem ich gonić, chciałem chociaż z jednego złapać i przyprowadzić jaśnie panu, ale wpadli w gąszcz i nie mogłem nic im zrobić... Poszedłem niby niechcący do borowego, a on sobie leżał pod jabłonką i spał. Jak mają ludzie nie psocić, jak bór jest zupełnie bez opieki...

Dziedzic od zmysłów odchodził — tak mu było żal tych zerżniętych modrzewi. Krzyczał, mdlał, wymyślał, groził. Potem wezwał ojca do siebie do dworu i mówi do niego:

— No, ja wiem, że z ciebie przyzwoity chłopak... Ale ja cię nagrodzę...

Nie słuchał zupełnie tłumaczenia się gajowego dziedzic. Zwolnił go zupełnie i zmartwiony stary powiesił się potem w boru, a ojciec został na jego miejsce borowym. To zajęcie bardzo mu się podobało. Był swobodny, niezależny, lepiej uposażony — wyróżniony.

Po pewnym czasie ojciec uznał, że już za długo jest borowym, zaczęło mu się podobać co innego. Kiedyś się pokłócił z pisarzem podwórzowym i powiedział mu, że pisarza to nie dziedzic trzyma, tylko on — mój niby — ojciec. Kłócili się ząb za ząb. Pisarz mówił, że on sobie nic z takiego „miesięcznika" nie robi, a ojciec znowu krzyczał, że jak będzie chciał, to się jego pisarzowe panowanie skończy każdej chwili. Byliby się wtedy pobili, bo ojciec bardzo był pewny siebie. Przecież jednak przez jakiś czas było spokojnie. Może z miesiąc.

Raz w nocy ojciec poszedł do dworu do dziedzica, wywołał go w podwórko, zaprowadził koło śpichrza i tam w kupce słomy w kącie pokazał mu schowany korzec pszenicy. Oczywiście była to dla dziedzica robota pisarza, bo on miał klucze od śpichrza i on dysponował zbożem. A to zwyczajnie ojciec tę pszenicę kupił i podstawił.

Nic pisarza nie uratowało. Zwolniono go, a na jego miejsce pisarzem podwórzowym został mój właśnie ojciec.

I do niego przeznaczyli moją matkę na sprzątaczkę.

Po roku ja się urodziłam.

Dowiedziałam się tego wszystkiego od ludzi bardzo dokładnie.

Ludzie bowiem pod tym względem są bardzo dokładni i bardzo uprzejmi.

JEDYNY PAN

Po zwalczeniu pisarza ojciec mój stał się w całym dworze jedynym człowiekiem, którego się wszyscy bali. Jednocześnie ojciec posiadł nieograniczone zaufanie dziedzica. Nic się nie robiło we dworze, w polu, w boru, żadna sprzedaż, żadna budowa, żadne przedsięwzięcie nie zostało poczynione bez jego wiadomości i jego pozwolenia.

Jednocześnie ten niby - ojciec mój drwił sobie ze wszystkich. Nawet z dziedzica. Były donosy na sprawki pisarza, ale dziedzic je odrzucał z miejsca, bo poczytywał to wszystko za objaw zazdrości.

Nawet administrator, który był fachowym rolnikiem, kończył jakieś nauki w Poznańskiem, też się bał mojego ojca, choć ten był tylko zwykłym chłopakiem, co pisać i czytać tylko umiał, ale gdzie się nauczył, nie wiem.

Górowanie niby - ojca nad administratorem nie przyszło ojcu łatwo. Jeden i drugi uważali, że powinien ktoś górować: administrator uważał się za władzę, bo był starszy, uczeńszy i dłużej w tym miejscu służył. Ojciec uważał, że on, bo był sprytniejszy i wszystko, co zamierzył, mu się udawało.

Razu pewnego rządca wysłał dwuch chłopaków do roboty w pole. Przechodzili po podwórzu — ojciec ich zobaczył i zawołał, ażeby pomagali fornalom w ładowaniu zboża w śpichrzu. Chłopcy się tłumaczyli, że mają inną robotę, że ich rządca gdzie indziej przekazał. Nic nie pomogło, musieli iść do śpichrza.

Wojna wybuchła o to; kiedy się dowiedział, że jego zarządzenie ojciec zmienił, ogromnie klął i krzyczał. Ojciec się odgryzał, ale nie miał jeszcze odwagi gwałtownie wystąpić. Dopiero po pewnym czasie ojciec się dowiedział, że administrator ma w okolicy trzy wydane krowy (własne u chłopa we wsi schowane w tajemnicy przed właścicielem; dostarcza się im pokryjomu pasze dworską). Wiadomość o tym postawiła ojca na nogi. Niezwłocznie zameldował dziedzicowi, dziedzic wezwał administratora i zapytał się, czy to prawda. Administrator nie zaprzeczył. Nic mu nie było, jednak zaufanie miał już podkopane, a krowy musiał zlikwidować.

Po tym wypadku ojciec mój stał się nieograniczonym panem w całym dworze. Wszyscy byli źli, tylko on jeden był dobry, wszyscy oszukiwali, tylko on jeden był uczciwy. Dostał ojciec konia wierzchowego dla własnego użytku, wszystkie klucze od śpichrzów i magazynów. Bez niego nie zrobiło się nic. Ojciec trzymał złego psa, nosił rewolwer — nikogo się nie bał. Chodził po dworskim podwórku, po polu, po boru: wszystkiego pilnował, do wszystkiego się wtrącił, o wszystkim meldował.

(Ciąg dalszy na str. 7-ej)

---

*) Patrz: Zofia Szczęsna: „Do Polski i miasta" (nr 34-35) oraz Henryka Chmielewska: „Bez rodziców" (nr 39 „Wsi").

Pożyteczna kiążka

Mieczysław Kafel i Antoni Olcha: „Wieś pisząca", 1946. Kraków — Warszawa, Skład główny: Księgarnia „Czytelnik", Kraków, str. 141 + 3 nl.

Praca Mieczysława Kafla i Antoniego Olchy jest pozycją, której poznanie obowiązuje każdego interesującego się zagadnieniami rozwoju kultury i literatury chłopskiej. Niewielka rozmiarami książeczka opowiada w sposób bardzo zwięzły ale rzeczowy i sugestywny zarazem dzieje Związku Literatów Ludowych powstałego w lipcu 1933 roku oraz pisma „Wieś — Jej pieśń", które wychodziło w latach 1933—35. Szczególnie doniosłą wagę mają rozdziały „Zjazd krakowski" (omawiający zjazd pisarzy chłopskich, który odbył się w Krakowie 23 czerwca 1934 r.), oraz „Stodoła estradą poezji" obrazujący wa runki, w jakich działali radykalni literaci wiejscy, usiłujący prowadzić pracę kulturalną w czasach przedwrześniowych.

Cztery pierwsze rozdziały książki stanowią jej część historyczną, trzy następne — to krótka antologia publicystyki, prozy artystycznej i poezji ułożona z utworów lub fragmentów utworów drukowanych na łamach „Wsi — Jej pieśni". Antologię tę uzupełniają wybrane fragmenty z listów nadesłanych do redakcji pisma oraz osobny rozdział poświęcony głosom krytyki o „Wsi — Jej pieśni".

Książka jest ułożona i napisana w ten sposób, że chociaż posiada dużą wartość dla interesującego się zagadnieniami literatury ludowej naukowca, może być z pożytkiem i zainteresowaniem czytana także na wsi. To połączenie popularności i jasności wykładu z dużą wartością dokumentarną i bogactwem zagadnień jest poważnym sukcesem autorów publikacji.

„Wieś pisząca" powinna znaleźć się we wszystkich bibliotekach wiejskich, a zwłaszcza w bibliotekach młodzieżowych.

Stefan Lichański

(Dokończenie ze str. 6)

Kiedy się rozpoczęła wojna z Niemcami, miałam dziewiętnaście lat skończonych. Matka zginęła przy wkroczeniu wojsk niemieckich do naszej wsi. Razem z nią zginęło jeszcze wiele ludzi. Właściciel majątku uciekł, dwór zabrali Niemcy i utworzyli z niego Liegenschaft. Po kilku miesiącach aresztowany został rządca, szofer, a za dziedzicem zostały rozpisane listy gończe.

Okazało się, że w piwnicy dworu Niemcy znaleźli zamurowane w ścianie: naboje, karabin, dwie fuzje, rewolwer. Było to wszystko tam schowane w lecie przed wybuchem wojny polsko - niemieckiej. Przy chowaniu asystowali tylko dziedzic, rządca, szofer, i mój ojciec. Kto to wydał — nie wiadomo, ale ludzie różnie mówili pomiędzy sobą. Posądzali nawet o to mojego ojca.

Pewne ślady wskazywały na to, że ojciec w łaskach u Niemców był. Został się w dalszym ciągu pisarzem we dworze. Nosił broń, miał jeszcze bardziej niż przedtem złego psa, ludziom dokuczał, bił i szczuł psem. Najgorzej, kiedy złapał w szkodzie w polu kogokolwiek. Nikt tego nie stwierdził, ale ludzie pogadywali, że był volksdeutschem. Może?

Materialnie było mu bardzo dobrze. Może jeszcze lepiej niż przed wojną, kiedy ojciec miał wydanych pięć krów na wsiach, szło dla nich siano wozami, sieczka, koniczyna, owies. Miał także ojciec dwa konie wydane, owce — prowadził zupełne gospodarstwo swoje, drugie. A przecież właściciel oczarowany pracowitością i wiernością ojca otrzymywał jeszcze premie, datki, upominki od dziedzica.

ZE DWORU DO ŁODZI

Pewnego razu spotkałam po wojnie już dawną znajomą, która pracowała w Łodzi. Dowiedziałam się od niej, że można dostać pracę w fabryce. Zwolniłam się też we dworze, pożegnałam moje ciotki, wujów, koleżanki i znajomych i przyjechałam pociągiem do Łodzi do tej znajomej. W mieście Łodzi jeszcze nie byłam, wydała mi się ona wielkim miastem. Znalazłam z trudnością moją znajomą, ona mi się wystarała o pracę, zamieszkałam kątem u pewnej starszej robotnicy i zaczęłam pracować w fabryce.

W taki sposób zostałam Łodzianką, robotnicą. Na wsi dawno już nie byłam. Nie mam chęci tych stron odwiedzać. Ale od znajomych wiem, jak tam jest.

Majątek nie został rozparcelowany. Właściciela nie ma oczywiście. Całe gospodarstwo prowadzi w dalszym ciągu mój ojciec. Stało się więc tak, że na wszystkim on pozostał. Z chłopaka obcego, który mówił robio, siejo — jest teraz niby właścicielem, który nie uznaje nikogo nad sobą.

Marianna Witkowska.

„Pinokio" — wzór literatury dla dzieci

C. Collodi. Pinokio. Z włoskiego opracował J. Wittlin. Ilustrował I. Witz. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza". Str. 205.

Z trzech powodów zajmująca i aktualna okazała się dziś książka Collodiego posiadająca już półwiekowy okres oddziaływania na czytelników-dzieci, przetłumaczona na wiele języków świata.

Jako dobra powieść dziecinna domaga się „Pinokio" określenia i sklasyfikowania jako wzór pewnego rodzaju literatury dla dzieci. Z drugiej strony objektywna wartość książki sprzyja zamyśleniu na temat powieści moralizującej w ogóle, a wreszcie udziału w literaturze powieściowej czynnika poetyckiego jako kształtującego rzeczywistość, czynnika nie niszczącego realizmu lecz jakby przedłużającego go.

Zagadnienia te nasuwające się przy lekturze pięknej i zabawnej książki nie powinny przecież ujmować nic z jej wdzięku i humoru.

Literatura dziecięca zbyt często usiłuje tworzyć nowe wątki powieściowe, które okazują się za słabe, aby móc egzystować samodzielnie na umysłach dzieci. Tymczasem zaleta książki Collodiego polega właśnie na zastosowaniu i uproszczeniu małej ilości wątków stałych, wypróbowanej niejako jakości w literaturze wielkiej. „Pinokio" jest po trochu romansem przygód — roman d'aventures, po trochu powieścią kryminalną, po trochu baśnią. Emocje jej to znane i oobwiązujące jeszcze w romansie starożytnym cudowne ocalenie, odnalezienie, rozpoznanie.

Kukiełka Pinokio jest podmiotem szeregu dziwnych, burzliwych przygód. Sam ich łańcuch, samo falowanie jej powodzenia i niedoli budzi efekt humorystyczny. Pozbawione wszelkiej grozy ma miejsce i morderstwo i śmierć i rabunek. Z baśni wykorzystane są również motywy ogólne — loci communes światowych wątków bajecznych — kraina zabawek występuje jako odpowiednik kraju leniuchów— Schlaraffenland — będącego także tematem malarskim, przemiana chłopców w osły przypomina bardzo dziecinnym, szkolnym echem powieści starożytne — Lucjusz, Apulejusz, ważny moment akcji odbywa się we wnętrzu wielkiej ryby — niby Pinokio jako biblijny Jonasz, występuje także znany w baśni ludowej ludożerca potwór Ogniojad chcący użyć Pinokia jako podpałkę pod swoje pieczyste, wreszcie przemiana kukły w chłopca w miły i zabawny sposób łączy baśniowość z powagą alegorii — Hic abiit... hic natus est.

W ogóle problem zła, które jest głównym winowajcą nieszczęść Pinokia i z którym on spotyka się zawsze właśnie w chwili, gdy dobro zaczynało zwyciężać — rozłamuje świat na dwie połowy — obie równie atrakcyjne. Jedna z nich pełna jest przygód i ruchu, wesołości i próżnowania, ale najeżona przykrymi niespodziankami, druga jest spokojna, piękna, a przede wszystkim bezpieczna.

To proste postawienie problemu moralnego jest tym, do czego tęsknimy w ogóle w literaturze po okresie psychologicznych zawikłań powieści mieszczańskiej. Może stąd właśnie płynie zupełnie szczera przyjemność lektury „Pinokia" dla dorosłych także czytelników.

Trafność „Pinokia" polega na tym, że bohater jego posiada wszystkie słabości dziecięcego wieku, cały sybarytyzm dziecinny, jest typem sympatycznego łobuziaka, o jakim przecież matka mówi, że ma dobre serce, a ojciec, że jednak mimo wszystko będą z niego ludzie.

To też z lalki skłonnej do kłamstwa, lenistwa, łakomstwa wyszli ludzie w wyniku ostatecznej przemiany, jaka dokonała się za sprawą uczucia. Bo też jakąś ogólną serdeczną dobroć zaleca powieść Collodiego, a zmory trapiące także dziecinne umysły i sny rozładowuje humorem i prostotą. Pinokio jest mordercą. Zabija Świerszcza Mówiącego drewnianym młotem. Lecz Świerszcz nie schodzi przez to z życia Pinokia, zjawia mu się często, wypowiada nadal swoje dobrotliwe, poczciwe morały. I dziewczyna z turkusowymi włosami jest na przemian to żywa, to umarła, to jest siostrą, to matką, to kózką. Miłość Pinokia dokonuje tych wszystkich zmian.

W ten sposób książka Collodiego nie unikając rzeczy ostatecznych, a mieszając je fantastycznie z życiem daje jakiś bardzo pełny, a przecież niefrasobliwy obraz świata. Niefrasobliwość tę podkreśla fakt, że Pinokio jest drewnianą kukiełką, bardziej przez to odporną, jest wystruganym z drzewa pajacykiem— któremu można współczuć nie angażując się uczuciowo w zupełności. Podobnie radość z teatru marionetek wynika z tego, że lalki są odporne, umierają i zmartwychwstają zaraz, biją się bez obawy o guzy.

Oprócz tej teatralnej sytuacji, tego tonu zabawy w życie — postawa autora jest humorystyczna, a język jego pełen dowcipu. Często dowcip ten polega na uproszczonym mechanizmie kojarzeń:

— „A co was sprowadziło do mnie, kumie Dżepetto?
— Nogi mnie sprowadziły".

lub na logicznym błędzie pożytecznym dla posługującego się nim:

— „Czemu nosisz na głowie tę czapkę?
— Lekarz mi ją zapisał, ponieważ potłukłem sobie kolano".

W rzeczywistości Pinokio czapką okrył wstydliwie swoje ośle uszy wyrosłe w krainie zabawek. Nieprawdopodobieństwo zdarzeń ubrane w zupiełnie realne, konkretne formy jest także zjawiskiem komicznym. Czy Pinokio jest rzeczywiście lalką, czy chłopcem — ta wątpliwość przeprowadzona jest artystycznie, ta igraszka sensu bawi najbardziej.

Postawa autora wobec rzeczywistości, jaką stwarza, jest w istocie poetycka. Rzeczy realne mieszają się z fantastycznymi, a fantazja objawia się w obrazach realistycznych. Prawa tego świata są ludzkie, realne. W bajce może by pięć dukatów urodziło tysiące, ale Pinokio przekonuje się, że tak nie jest w rzeczywistości. Że Pinokio znajduje się często na brzegu zguby — to właśnie wina jego nieznajomości praw realnych rządzących światem, wina jego naiwnej fantazji tworzącej sobie krainę zabawek i pole cudów.

Dlatego ta bajka jest tak wychowawcza: posługując się ulubionymi dla dziecka elementami fantastycznymi — nie kłamie, nie fałszuje zasad rzeczywistych, a właśnie odsłania je i porządkuje. Bajka zostaje bajką, a świat nie przestaje być piękny dzięki przemieniającej sile poezji.

Dobry przekład Wittlina zachowuje pewną staroświeckość stylu. Ilustracje Witza niestety zupełnie nie ukazują wdzięcznego świata Pinokia. Poza paroma rysunkami przedstawiającymi jakieś większe całości, jak kraina zabawek i miasteczko z brzegiem morza, są w przykry sposób pozbawione poetyczności i humoru.

Anna Kamieńska

Od liryki do satyry

Jan Huszcza: „Łbem o ścianę", „Książka", 1946. str. 130.

Jan Huszcza znany jest przede wszystkim jako subtelny i kulturalny liryk. Poezja Huszczy skłaniająca się ku melancholijnej nastrojowości nie nasuwa w żadnym wypadku przypuszczenia, że w autorze kryje się tęgi satyryk i humorysta, świetny obserwator i mistrz farsowych efektów.

Humorystyka Huszczy przywodzi na myśl pisarzy rosyjskich, w pierwszym zaś rzędzie Zoszczenkę. Ale jest to pokrewieństwo raczej rodzaju literackiego niż zasadniczej postawy pisarskiej. Zoszczenko jest w gruncie rzeczy pesymistą, nie wierzy on w świat ani w człowieka. Satyra Zoszczenki oscyluje ku złośliwej grotesce, deformującej obraz rzeczywistości w posępny koszmar głupoty, hipokryzji, szaleństwa i niedorzeczności.

Satyra Huszczy jest surowa i trafna, ale wyszydzając ludzkie wady i ułomności nie przekracza tej niebezpiecznej granicy odhumanizowanego humoru, z poza której traktuje się rodzaj ludzki i wyniosłą pogardą i lekceważącą pobłażliwością.

Mówi się, że temat w literaturze jest obojętny, ważna jest tylko obróbka tego tematu. Zdanie to jest prawdziwe o tyle, że istotnie najwznioślejszy i najczcigodniejszy temat nie usprawiedliwia w niczym partackiego wykonania utworu. Jest ono jednak fałszywe, jeżeli traktować je jako zasadnicze zaprzeczenie możliwości zbudowania jakiejś sensownej hierarchii zagadnień. U pisarza - humorysty sam dobór tematów jest rysem znamiennym i pozwalającym nam zorientować się co do zasadniczej postawy autora wobec świata. Szyderstwo pokazujące wszystkie bez wyboru zagadnienia i sprawy w krzywym zwierciadle złośliwej karykatury jest zawsze wyrazem moralnego nihilizmu, zasadniczego zaprzeczenia wartości humanistycznych i — mimo pozorów drwiącej wzniosłości i pogody — rozpaczliwego pesymizmu.

W Huszczy nie ma nic z takiego dekadenckiego kpiarza, jego satyra chłoszcze ludzkie wady i ułomności rzeczywiście „grzeszne", rzeczywiście zasługujące na bezlitosne wydrwienie.

Okresy przemian zawsze stwarzają pewien okres wspaniałych możliwości dla wszelkiego rodzaju amatorów łowienia ryb w mętnej wodzie (jak owi spryciarze z „UAU", jak „szabrownik" Pośpieszka z „Ucieczki", jak Typciak z opowiadania „Swój człowiek"). Drugim poważnym niebezpieczeństwem takiego okresu jest napływ na poważne nawet nieraz stanowiska ludzi zgoła nieodpowiednich („Zdarzenie z Jędruszczakiem", „Obywatel Prąciak"). Jednym i drugim dostaje się porządnie od Huszczy. Ze specjalną lubością operuje autor tępych czcicieli św. Biurokracego („Ewaryst Ciurlik", „Od... do...", „Papier", „Kalendarz"), nieudolnych i niezaradnych przedstawicieli różnych „czynników miarodajnych" (Most", „Dwie komisje"), wszelkiego gatunku snobów („Tytuły", „Czy pani już ma?"), bezmyślnych malkontentów („Łatwowierność") i sprytnych „wazeliniarzy", „przystosowujących się" gorliwie do obecnych warunków („Klub", „Dzień człowieka poczciwego").

Satyra Huszczy jest do pewnego stopnia „sztuką stosowaną", zwraca się ona bowiem w pierwszym rzędzie przeciw rozmaitym szczególnie dokuczliwym objawom życia współczesnego. Huszcza umie jednak pogodzić aktualność tematu ze spełnieniem warunków wykonania literackiego zapewniającego humoresce trwalszy żywot.

Felietony Huszczy, żywe i świeże, gdy się je czytało po czasopismach, żyją także w wydaniu książkowym. Ten fakt jest najlepszym sprawdzianem ich literackiej rangi. „Łbem o ścianę" jest zapowiedzią pomyślnego rozwoju talentu prozatorskiego i satyrycznego Huszczy.

Stefan Lichański

Stanisław Kolada

W obejściu

Odpoczywa wóz na klepisku,
pusty wóz, suchy i skrzypiący...
Dwa duże bure kociska
wyszły leniwo na łowy...
W stajni koń rży, kopytami wali
i od czasu do czasu w ćmę nocną prycha...

Ciemność płynie nieustannie,
szczury i myszy zaglądają
do końskiego żłobu śmiało...
– Dwa koty zagrzebały się w sianie
znużone długim czatowaniem...

W dusznej izbie łóżko skrzypi,
stary ojciec myśli o pracy rannej...
Myśli sobie o wozie, że już czas by nowy,
że siwek owsa za mało zjada,
że... dużo stary ojciec myśli
dopóki go sen nie zmoży...

I tak płynie noc... Gwiazdy płyną
na niebie oderwane coraz szybciej... Słonecznik
obleka się w szatę z rosy... godziną
północną przemówi kogucik,
ten tegoroczny, co to matka ostawiła,
taki bystry, na wysokich żółtych łapkach.

A potem znów cisza gwiazd,
echo skrzypiącego wozu co stoi na klepisku,
rżenie konia, który wyjadł żłób obroku
i w domu gospodarza westchnienia...

Od redakcji:

W następnym numerze „WSI"
podajemy wyniki
konkursu na temat:
„jakiej powieści
chce dzisiejsza wieś"

FAKTY i ZDANIA

„WYZWOLIN TEN DOCZEKA SIĘ DNIA..."

Stare to hasło ludowców spod znaku „Wyzwolenia" zdaje się dzisiaj triumfować. Lecz niestety nie zawsze odnosi ono zwycięstwo. Są ludzie, którzy, jak ten przysłowiowy robak we wnętrzu kamienia zdają się nie dostrzegać swojego słońca, choć patrzą na nie codziennie. Robakowi można się nie dziwić, wszak siedzi w wiecznych ciemnościach i jest... robakiem. Lecz dla ludzi, którzy śpiewali ongi bojowe pieśni ludowe a dziś cofają się do przedwojennego stanu pogotowia do walki o ideały, które w odrodzonej Polsce realizują się od lipca 1944 roku, trudniej znaleźć uczucie sympatii, choćby zrozumienia. Gorzej, gdy w chwili poważnej, wymagającej **jedności** całego narodu, ludzie ci stawiają w pierwszym rzędzie swoje interesy ponad dobro ogółu. To coś jakby z legendy o „Purpurze" Mickiewicza lub z któregoś kazania Skargi o ojczyźnie. Z tym większą radością notujemy fakt decyzji Polskiego Stronnictwa Ludowego „Nowe Wyzwolenie" przystąpienia na ziemiach odzyskanych do bloku wyborczego czterech stronnictw demokratycznych. Decyzja prawdziwie męska, patriotyczna. Tam, gdzie każdy głos oddany ma swoje wielkie znaczenie dla Polski i dla świata, nie może być żadnego rozdźwięku. Głosy oddane na ziemiach odzyskanych złączą te ziemie z macierzą raz na zawsze. „Nowe Wyzwolenie" doczekało się dnia swoich wyzwolin. Inni niech czekają.

t. p.

PROCES GÓRALI

Przed kilku dniami zakończył się w Krakowie proces wytoczony przez władze polskie twórcom t. zw. „goralenvolku". Ci, którzy stanęli przed sądem, stanowią już tylko pośledniejszy element. Najbardziej winni zostali zastrzeleni jeszcze dawniej przez polskie władze podziemne, jeszcze wówczas, kiedy roztaczał nad nimi swoje ochronne skrzydła sam generalny gubernator, dr Hans Frank.

Kiedy się myśli o fakcie stworzenia przez Niemców owego „narodu góralskiego", co się nasuwa za określenie?

Tragifarsa.

Przykra, ponura, hańbiąca tragifarsa. Przedsięwzięli ją Niemcy w czasie, kiedy nad krajem rozpostarła się makabryczna noc hitlerowsko - germańskiego ucisku. Była to pierwsza próba wbicia klina między poniewierany naród polski.

My inni żyjący zdala od Podhala i o tych rzeczach dowiadujący się tylko z prasy konspiracyjnej lub z „gadzinówek" mimo wszystko słuchaliśmy ze zgrozą sprawozdań z tych niemieckich zabiegów wokół utworzenia jeszcze jednego narodu w Europie, który mógłby być wprzągnięty w rydwan osiowy świata teutońskiego, na równi ze Słowacją, Kroacją czy republiką Baskijską.

A przecież mimo wszystko Niemcy znaleźli sobie kreatury, które dały się użyć do tych tragikomicznych zadań tworzenia i reprezentowania „udzielnego księstwa góralskiego". Przechodziło to granicę pojęć przeciętnego obywatela spod okupacji nastawionego opornie i wrogo wobec każdego słowa i zarządzenia hitlerowskiego. A to było utworzone przecież ochotniczo!

Dlatego z tym większą satysfakcją przyjęło się do wiadomości fakt, że sprawiedliwość w postaci jedynie właściwej, jedynie zrozumiałej kary śmierci dosięgła swego czasu winowajców głównych jeszcze wówczas, kiedy żandarm niemiecki i wermacht gwarantował różne nienaruszalności i nietykalności.

Tyle zostało z tych „gwarancji", że Wacław Krzeptowski zawisł na karzącym stryczku z rąk bojowców podczas okupacji, a żyjący do dziś dnia mniejszy winowajca Cukier otrzymał 15 lat więzienia z rąk sądu polskiego. Inni zaś tyle lat, na ile zasłużyli według kwalifikacji ich czynów przez władze sprawiedliwości. Taki epilog miała ta tragifarsa, która nam nieświadomym istotnego stanu rzeczy spędzała sen z powiek na myśl, co się tam dzieje na tym Podhalu Orkanowym?

Był czas, że owa akcja zdawała się rzucać cień na wieś polską tak wspaniale reprezentującą się w czasie okupacji. Ale to było złudzenie powstałe z braku odpowiednich, gruntownych wiadomości o fakcie. „Góralenvolk" był i został tragifarsą graną przez grupę alkoholików.

tg.

„LUDZIE MAŁEJ WIARY"

Przed niedawnym czasem rozmawiałem ze swoim znajomym z nad Wisły, a osiedlonym obecnie wraz z rodziną na Śląsku, gdzieś między Bytomiem a Wrocławiem. Pytałem się go ciekawy, jak tam u nich jest, czy Niemcy są jeszcze? Mój rozmówca spojrzał zdziwiony, ale zaraz odparł — ale gdzież! Całe miasteczka i wsie są zamieszkałe przez Polaków, odnosi się wrażenie, jakby człowiek przebywał w najrdzenniejszej części Polski. Wrażenie to potęgują co krok spotykane jakieś stare pamiątki po Piastach, to brama, to baszta, tam orzeł ukryty w starych rzeźbach. No a te dziwne wieści niepokojące i złe zarazem? Nawet w kinach łódzkich wywieszone są plakaty przedstawiające las i... Niemców radzących o zemście...

Pisał o tym Zbyszko Bednorz w 41 numerze „Odry". Wśród innych bezsensownych bredni szerzy się i ta: — „Ktoś komuś opowiedział, że na ziemiach odzyskanych działa tak zwany „Wehrwolf" i dlatego tam jest bardzo niebezpiecznie. Ktoś kazał więc wydrukować afisze z napisem: „bądź czujny, wilkołaki działają". Afisz taki o groźnym czarno-czerwonym malunku ktoś porozwieszał we wszystkich hotelach, na dworcach, na wszystkich słupach i murach Ziem Odzyskanych. O, wyśmiany przez wszystkich repatriantów i osadników propagandysto, kury macać jak mówił Zagłoba, a nie brać się do budowania nastrojów! Sameś wilkołak. Więc zdejm te afisze i nie strasz niepotrzebnie".

Tych plotkarzy siejących rozmyślnie czy z niepojętej głupoty różne „wieści" o Ziemiach Odzyskanych nazywa łagodnie Zbyszko Bednorz „ludźmi małej wiary". Spotkać ich można na wsi, w mieście, na placach targowych i w urzędach. Kiedy ten ród wyginie!

t. p.

SEKTA Św. BIUROKRACEGO

W nr. 47 „Wsi" zamknęliśmy dyskusję na temat działalności i roli poczty na wsi artykułem ob. Emila Pióreckiego „Wieś i poczta". Artykuł ten warto przypomnieć raz jeszcze, gdyż poruszył on pewne zagadnienia wychodzące właściwie poza ramy owej wspomnianej powyżej dyskusji. Chodzi tu o przeciwstawienie się ponurym tradycjom biurokratyzmu, dla którego ważne są tylko prawne formułki i paragrafy a nie żywy człowiek. Ob. Piórecki poddając krytyce biurokratyczny stosunek do publiczności urzędników traktujących swoją pracę w sposób ściśle formalistyczny i najzupełniej bezduszny, poruszył sprawę dla wsi szczególnie ważną i bolesną.

Mieszkaniec miasta ma niemal codzień coś do załatwienia w biurach takich czy innych instytucji, wskutek czego zapoznając się jako tako z metodami postępowania w podobnych okolicznościach, opanowuje w zasadniczych przynajmniej zarysach zawiły system rozmaitych przepisów formalnych. Chłop z urzędem styka się rzadko, trudność sprawia mu często załatwienie w sposób ściśle przepisowy nawet sprawy najzupełniej błahej. I tu czyha na chłopa ponura sekta czcicieli św. Biurokracego, banda tępych przygłupków, gotowych do wyśmiewania lub traktowania z góry każdego, kto ma nieszczęście nie znać jakiegoś tam błahego przepisu, kto ten czy inny drobiazg chce załatwić w sposób niezupełnie zgodny z „odnośnym" paragrafem.

Zły, zarozumiały a głupi urzędnik jest prawdziwym nieszczęściem ustroju demokratycznego, bowiem kompromituje ten ustrój właśnie w oczach przedstawicieli świata pracy. Czasy „pańskich" reżimów minęły, ale za okienkami różnych urzędów tkwią jeszcze tu i ówdzie panie i panowie, w których rozumieniu objawienie pogardy dla „chamów" jest równoczesnym stwierdzeniem własnej wyższości duchowej i umysłowej. Z tego rodzaju elementami trzeba zrobić porządek. Tak jak usuwa się z urzędów łapowników i defraudantów, trzeba usunąć nieudolnych a złośliwych biurokratów utrudniających życie obywatelom demokratycznego państwa. Wobec sekty wyznawców św. Biurokracego tolerancja jest niedopuszczalna.

a.p.

„S P O Ł E M"

WYDZIAŁ PRZEMYSŁOWO-ROLNY

WARSZAWA, GRAŻYNY 13, TELEFON CENTRALI 8-95-20

(dawniej: Zrzeszenie Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej)

1. **Opracowuje spółdzielniom plany i kosztorysy zagospodarowania resztówek i obiektów przemysłowych.**
2. **Ułatwia spółdzielniom uzyskanie kredytów inwestycyjnych.**
3. **Prowadzi instruktarz zagospodarowania resztówek i obiektów przemysłowych.**
4. **Prowadzi we własnej administracji obiekty przemysłowe i rolne.**
5. **Wykonuje wszelkie roboty zlecone, wchodzące w zakres zagadnień przemysłowo-rolnych.**
6. **Zaopatruje Spółdzielnie we wszelkie artykuły techniczne, wchodzące w zakres przemysłu rolnego.**
7. **Ułatwia Spółdzielniom nabywanie materiałów pomocniczych (węgiel, materiały pędne, smary i t. p.) oraz surowców, dla celów przemysłowo-rolnych.**
8. **Prowadzi akcję rozprowadzania materiałów budowlanych.**

Ogręgowe Oddziały Wydziału Przemysłowo-Rolnego „Społem"

1. **Białystok, ul. Konopnickiej 3**
2. **Bydgoszcz, Stary Rynek 7**
3. **Gdańsk - Wrzeszcz, Partyzantów 21**
4. **Lublin, Ewangelicka 6**
5. **Łódź, Narutowicza 59**
6. **Kielce, Kościuszki 8**
7. **Katowice, Mariacka 17**
8. **Kraków, Szczepańska 2**
9. **Olsztyn, 1-go Maja 2**
10. **Poznań, Chełmońskiego 1**
11. **Rzeszów, Roderyka Alsa 3**
12. **Szczecin, Dworcowa 2**
13. **Warszawa, Grójecka 12**
14. **Wrocław, Kołłątaja 15**

W OSTATNIM 47 (75) NUMERZE „WSI" z dnia 1 grudnia 1946 r.:

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „W i e ś" przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P. K. O. Łódź VII—1080

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

KOMUNIKAT PAŃSTWOWEGO INSTYTUTU KSIĄŻKI

Państwowy Instytut Książki, utworzony dekretem Krajowej Rady Narodowej z dnia 22 marca 1946 roku (Dz. URP Nr 12, poz. 78) i podległy Ministrowi Oświaty, działającemu w porozumieniu z Ministrem Kultury i Sztuki oraz Ministrem Informacji i Propagandy, rozpoczął swą pracę, tymczasowo (od 20 września 1946 r.) w Łodzi.

Instytut jest zakładem naukowo-badawczym, stanowiącym **ogólnokrajowy ośrodek dokumentacji i badań, planowania i poradnictwa** w zakresie wszelkich spraw dotyczących książki i poszczególnych dziedzin nauki o książce, jak: bibliologia teoretyczna, systematyka i historia, socjologia i ekonomia książki, księgozbiorów i pracy zawodowej nad książką; kompozycja pisarska i wytwórczość wydawnicza; bibliografia i statystyka księgoznawstwa; księgarstwo i rozpowszechnianie książek; ich użytkowanie i czytelnictwo wraz z metodyką pracy umysłowej.

Szczegółowy program Instytutu, jednoczący prace, wykonywane częściowo przed rokiem 1939 przez oddzielne instytucje, zarysowuje się w następujących działach:

1). **Dokumentacja** bibliologiczna; utworzenie centralnej biblioteki księgoznawczej oraz muzeum książki i bibliotekarstwa; opracowanie katalogu zbiorowego dzieł bibliologicznych, posiadanych przez biblioteki polskie.

2). Podejmowanie, inicjowanie oraz ogłaszanie zbiorowych i jednostkowych **prac badawczych** we wszystkich dziedzinach nauki o książce, a w szczególności studia nad życiem społecznym książki i organizacją czytelnictwa.

3). **Stosowanie** wyników wiedzy bibliologicznej dla potrzeb praktycznych, celem udoskonalenia książki jako czynnika kultury umysłowej przez planowanie zasad ustroju i działalności bibliotek, pracowni bibliograficznych i zakładów wydawniczo-księgarskich; poradnictwo wydawnicze w zakresie planu, typów i struktury publikacyj; udzielanie porad instrukcyjnych bibliotekom każdego rodzaju; rozwijanie zawodowej działalności dydaktycznej (programy i pomoce nauczania, kształcenie pracowników).

4). Udzielanie **informacji bibliograficznych** we wszystkich dziedzinach piśmiennictwa; sporządzanie i gromadzenie w tym celu źródłowych kartotek; opieka nad zbiorami zabytkowymi i specjalnymi w bibliotekach polskich (pracownia konserwatorska i fotograficzna); wreszcie — utrzymywanie łączności z zagranicą w zakresie bibliografii i dokumentacji.

Zespół wymienionych zadań wytycza Instytutowi w kształtowaniu spraw książki odrębną rolę — obok czynnika władzy państwowej t. j. Naczelnej dyrekcji Bibliotek i obok czynnika opinii społecznej t. j. Rady Książki, w bliskim z nimi współdziałaniu. Nadto podejmie Instytut współpracę z instytucjami pokrewnymi, jak Zakład Księgoznawstwa i Bibliotekarstwa Uniwersytetu Łódzkiego, Instytut Bibliograficzny Biblioteki Narodowej, Związek Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich, Naczelna Rada Księgarska, Wydział Książki i Czytelnictwa LIOK, Instytut Badania Czytelnictwa w „Czytelniku" itp.

Celem Instytutu jest bowiem nie tylko wykonywać wymienione zadania bezpośrednio własnymi siłami, ale również — planować i ogniskować, uzgadniać i popierać zamierzenia i prace bibliologiczne i bibliograficzne, podejmowane w bibliotekach, pracowniach bibliograficznych, zakładach naukowych i społecznych na obszarze całego Państwa, a nadto powierzać wykonanie oznaczonych prac poszczególnym osobom jako współpracownikom Instytutu i tworzyć w razie potrzeby komisje dla opracowania określonych zagadnień.

To też Państwowy Instytut Książki, podając niniejszą, pierwszą o sobie wiadomość, zwraca się do Instytucji i Osób z prośbą:

a) o zasilanie go (drogą daru lub kupna) wszelkimi materiałami z zakresu dokumentacji księgoznawczej (książki, czasopisma, katalogi, wycinki, sprawozdania i fotografie bibliotek i zakładów przemysłu wydawniczego, życiorysy pracowników książki itp.),

b) o zawiadamianie go o podjęciu lub zamierzeniu oznaczonych prac bibliologicznych i bibliograficznych oraz o zgłaszanie gotowości współpracy nad zagadnieniami powierzonymi przez Instytut, który ze swej strony troszczyć się będzie o możliwość przyjścia z pomocą naukową, techniczną, subwencyjną i wydawniczą.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Piętak Stanisław.

Komitet terenowy: Frasik Józef Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź ul. Żwirki 2. D—011438